

WYCHOWUJMY!

DOROSŁYM O DZIECIACH

Nr 2(5)/2022



Marzenia i pasje... ale z głową i charakterem

5

Na czym polega prawdziwe szczęście

8

Rytuały rodzinne

15

Strażnicy budzących się pasji

22

TEMAT NUMERU

**Pasje,
marzenia,
ideały**

Jak wychować dzieci, aby w życiu dążyły do spełniania marzeń? Czy sukces to efekt tylko genów, samorodnych talentów i atmosfery panującej w rodzinnych domach, czy również hartu ducha, wytrwałości i konsekwencji w dążeniu do celu? – w niniejszym numerze „WychowujMY!” chcemy się zastanowić nad rolą rodziny w budzeniu i rozwijaniu dziecięcych pasji.

WYCHOWUJMY!

SPIS TREŚCI

ROZWÓJ DZIECKA

Być bardziej.....	3
Marzenia i pasje... ale z głową i charakterem.....	5
Na czym polega prawdziwe szczęście.....	8
Autorytet to więź z rodzicem.....	11

W RODZINIE

Rytuały rodzinne.....	15
Ojciec jako strażnik rodziny. O szczególnej roli ojca w wychowaniu (cz. 2).....	19
Strażnicy budzących się pasji.....	22
Jabłko pod prąd.....	24
10 sposobów przekazywania wiary w rodzinie.....	26

W ŚWIECIE I W SZKOLE

Jak rozmawiać z dziećmi o wojnie?.....	29
Spod tablicy: Rodzinne tradycje zawodowe.....	31
Harcerstwem można się zarazić.....	34

W SIECI

Ani podium, ani szklana pogoda. O zrównoważonym podejściu do zajęć pozalekcyjnych.....	36
--	----

GŁOS DLA MEIN

Co nowego?.....	38
-----------------	----

KLASYCY WYCHOWANIA

Przez rodzinę ku przyszłości – Jan Paweł II o rodzinie.....	39
Etos księgarza. Historia rodziny Arctów.....	43

SPOTKAJMY SIĘ

Nasza rodzinna historia z farmacją.....	45
Muzyczna pasja – z pokolenia na pokolenie.....	47
Więcej do przeżycia.....	50
O pragnieniu szczęścia, pokonywaniu trudności i o tym, skąd brać siłę, by sięgać poza horyzonty.....	53
Nie próbujcie tego w domu?.....	55
Z filmami na co dzień.....	57
Gry bez prądu – Podróże małe i duże.....	60
Łódź: dwie trasy... na początek.....	62

DAĆ DZIECIOM SKRZYDŁA

Kiedy dziecko przychodzi na świat, wraz z nim rodzą się tysiące szans i możliwości. Pewną pulę zdolności i zalet dziedziczy w genach, resztę będzie zdobywało pracą i wytrwałością. I taki jest najpiękniejszy scenariusz. Oprócz głównego bohatera – dziecka – potrzeba jednak wielu osób z drugiego planu: rodziców, dziadków i wujków, którzy nie tylko pomagają dziecku w odkrywaniu pasji, ale i wspomagają w dążeniu do celu, a nierzadko i niemało – płacą.

Czasem jednak zapał szybko gaśnie, ćwiczenia nudzą, efekty nie przychodzą. Mały bohater wolałby uciec w bezpieczny świat przed ekranem, dorośli są rozgoryczeni. Bywa i tak, że dorośli chcieliby w dzieciach zobaczyć swoje niezrealizowane nigdy marzenia i ogrzać się w świetle ich sukcesów – a dzieci szukają własnej drogi, która może wcale nie prowadzić w kierunku wyznaczonym przez rodziców.

Jak więc mądrze pomóc dzieciom w odkryciu ich talentów? Jak nauczyć je ciężkiej pracy, ponoszenia wysiłków, niepoddawania się w momencie kryzysu? Jak powściągnąć własne zapędy do narzucania pomysłów i rozwiązań?

Jest w jednym z biblijnych psalmów takie piękne sformułowanie: „w cieniu Twych skrzydeł”, które może być dobrą metaforą roli rodziców w życiu dziecka. „W cieniu” – czyli nie dusić kurczowo pod skrzydłami jak kwoka pisklęta, ale pozwolić, by dzieci mogły swobodnie wzrastać, rozkwitać i dokonywać wyborów. Jednak to nasze ideały, nasza wiara, wyznawane poglądy dają ten „cień” – przestrzeń, w której dzieci funkcjonują. „Z orląt, nie z kawek, wyrastają orły i z orlego, nie wroniego, gniazda” – jak pisała Zofia Kossak. Twórzmy więc dobre, bezpieczne i inspirujące gniazda, w których mogą rodzić się i rozwijać pasje, marzenia i ideały.

Anna Zalewska

Małgorzata Nawrocka

BYĆ BARDZIEJ



Wielu z nas identyfikuje się ze zgrabną, filozoficzną zasadą, że „lepiej być niż mieć”. Ma to przecież oznaczać, że hierarchia wartości w życiu naszym i naszej rodziny została właściwie ustawiona, że hołdujemy jakimś ideałom, rozumiemy priorytet wartości wyższych nad prozaiczną konsumpcją dóbr materialnych i chcemy zaszcześcić w dzieciach szlachetne, być może nawet altruistyczne, podejście do życia.

Brawo! To naprawdę dobry plan. Jeśli jednak zastanowić się głębiej nad pytaniem: „czy być – czy mieć?”, wnikliwa myśl musi pójść dalej. No bo jeśli już przedkładamy „być” nad „mieć”, spytajmy: jak „być”? Jak być, żeby osiągnąć w życiu rzeczywiste szczęście? Przecież o to w końcu każdemu chodzi...

Moim zdaniem jedyna kompletna odpowiedź, jaka się nasuwa, brzmi: „być bardziej”. Po prostu być bardziej!

Błyskotliwa Eleanor Roosevelt

Słynna ze swoich maksym żona prezydenta Stanów Zjednoczonych F.D. Roosevelta, Anna Eleanor, powiedziała kiedyś: „Dwa rodzaje ludzi niczego w życiu nie osiągną. Ci, którzy wstają długo po obudzeniu się, i ci, którzy budzą się długo po wstaniu”. Trudno o bardziej motywującą zachętę do wzięcia się w garść. Konkretna wskazówka wielkiej damy światowej polityki sugeruje bowiem, że kluczem do zdobycia życiowego sukcesu jest świadome i konsekwentne, regularne działanie. W przypadku idei „być bardziej” odnosi się ono do dwu sfer. Po pierwsze, do solidnego wykonywania obowiązków, które związane są z pracą, dającą każdemu rozum, chleb i utrzymanie. Po drugie jednak, do odważnego poszerzania swojej codziennej aktywności o plany, które wykraczają poza listę zwykłych zajęć. I właśnie tu otwiera się pole dla marzeń, ideałów, rozwijania pasji oraz wszelkiego rodzaju hobby, czyli zajęć wybieranych i podejmowanych z własnej woli, w wolnym od pracy czy nauki czasie, co sprawia, że życie aktywnej jednostki staje się ciekawsze, bogatsze, a przez to bardziej satysfakcjonujące. Nie do przecenienia jest także wpływ takiej twórczej postawy na automatyczne zmniejszenie czasu marnowanego przed ekranami, bo smartfon, komputer czy konsola do gier mają wtedy naturalnego rywala – hobby. W dodatku jest to rywal rzeczywisty, a nie wirtualny, co pomaga mu wygrywać zwłaszcza na długich dystansach.



Maniak medialny kontra majsterkowicz?

W psychologii mediów wyróżnia się jednostkę chorobową tzw. maniaka medialnego, czyli osoby, która z powodu przedawkowania czasu spędzonego przed ekranami doprowadza do kryzysu lub nawet ruiny swoje życie osobiste, rodzinne albo zawodowe. Wśród kilku konkretnych, zdiagnozowanych cech maniaków medialnych jedną z ważnych jest właśnie objaw apatii, wywołanej brakiem ideałów, zainteresowań, hobby oraz ochoty do zaangażowania się w jakiegokolwiek aktywności społeczne.

W świecie wirtualnym, z natury atrakcyjnym poprzez mnogość obrazków, koloru, dźwięku, emocji, sensacji, fabularyzowanych fantazji, ofert, efektów specjalnych, a nawet dzięki przyjaźniom nawiązywanym bez konieczności uczuciowego deklarowania się i ponoszenia tego konsekwencji, ma on – powierzchownie nasyconą – potrzebę przeżywania przygody, którą dałoby mu w realu życie pełne marzeń i wyzwań. Co więcej, siedzenie godzinami przed ekranem męczy go jeszcze bardziej niż jogging, praca w ogrodzie, modelarstwo czy dodatkowy lektorat z angielskiego. Maniak medialny zwleka się więc codziennie ze swojego fotela tak skonany, jakby przebiegł maraton albo zamalował sześć metrów kwadratowych *Panoramy Racławickiej*. Z tej perspektywy konieczność rozwijania pasji i hobby u dzieci jawi się nam nie tyle jako

ekskluzywny dodatek do solidnego wychowania, ale i jako lekarstwo prewencyjne przeciw późniejszej, życiowej katastrofie, związanej z wszechobecną dominacją mediów cyfrowych.

Jak obudzić pasję?

Nie tylko dzieci wybitnie uzdolnione w jakimś konkretnym kierunku mają prawo do zajęć dodatkowych i czasu na realizowanie swoich talentów. Ze świadectw wielu artystów, choćby muzyków i malarzy, wynika jasno, że na spektakularny sukces składa się zazwyczaj 5% wrodzonych predyspozycji i 95% ciężkiej pracy. Pracy latami. Nie każde z naszych dzieci może zostać Lewandowskim, Matejką albo Pendereckim, ale na pewno niemal wszystkie stać, aby z przyjemnością i sukcesem pograć w piłkę, namalować zachwycający obrazek lub pięknie zaśpiewać w szkolnym chórze. I o to właśnie chodzi. O mały sukces, który dziecku i jego rodzinie sprawi wielką radość. Przewrotnie tak się bowiem składa, że aby odnaleźć jakąś lekką pasję, która podkreśli smak życia, trzeba zacząć od solidnego, codziennego uczenia się.

Poszerzanie intelektualnych horyzontów dziecka równocześnie znacznie poszerza listę ofert i szans odnalezienia przez nie takiej pasji. Do oglądania teledysków w telefonie, śledzenia mediów społecznościowych czy chodzenia po galeriach handlowych, traktowanych jako jedyny alternatywny sposób spędzania czasu wolnego przez dzieci i młodzież, muszą dojść oferty ambitniejsze. Najpierw dopilnujmy więc nauki i regularnego odrabiania przez nasze dzieci lekcji, ale zaraz potem ruszmy z nimi na podbój świata. Wokół nas są boiska, kluby kultury, szkoły muzyczne, teatry, kina, sale koncertowe, ciekawe muzea, a w nich sezonowe, pasjonujące wystawy, charytatywne ośrodki poszukujące wolontariuszy. Są bogato zaopatrzone biblioteki, kluby dyskusyjne, obserwatoria astronomiczne, bywają organizowane festyny, dni nauki, kiermasze, rekonstrukcje historyczne, wyprawy krajoznawcze z przewodnikiem, rajdy rowerowe, spływy kajakowe, konkursy recytatorskie, artystyczne warsztaty... Nieskończona liczba pomysłów na ciekawe spędzenie czasu i pogimnastykowanie ciała oraz wyobraźni. Wszystko to może wyciągnąć nas z nudy i rodzinnego marazmu. Dorosłych odmłodzi przynajmniej o dziesięć lat, a dzieciom da wiatr w żagle szlachetnych marzeń.



Jacek Banaś

MARZENIA I PASJE, ALE Z GŁOWĄ I... CHARAKTEREM

Obserwowany dziś chaos w zakresie tego, co ważne, co dobre, co prawdziwe i co piękne, nie ominą tego, o czym marzymy, co staje się przedmiotem naszych wysiłków i dążeń lub co po prostu czynimy z pasją w naszym życiu. Oto kilka przykładów.

Czy to jeszcze pasje?

Jak donosi portal biurorekordow.pl, prezentujący potwierdzone osiągnięcia z Księgi Guinnessa, niejaki Shridhar Chillal z Indii przez 63 lata hodował paznokcie lewej ręki. Osiągnęły one łączną długość ponad 9 metrów i Hindus trafił do wymarzonej księgi. Przez całe jednak życie musiał zmagać się z ogromnymi problemami (odrzuconiem przez wielu znajomych, znalezieniem pracy czy heroicznej żony). Kiedy nie mógł już normalnie funkcjonować i zdecydował się na obcięcie paznokci, jego lewa ręka była prawie niewładna i skarżył się na inne dolegliwości. Z kolei Francuz Michel Lotito miał tak wytrzymały żołądek, że w ciągu 3 lat zjadł cały samolot Cessna 150, pocięty na małe kawałki. Człowiek ten oprócz samolotu zjadł jeszcze m.in. 18 rowerów, 15 wózków sklepowych, 8 żyrandoli, 7 telewizorów, 2 łóżka, trumnę i komputer. W księdze Guinnessa posiada rekord „najdziwniejszej diety” (aviation24.pl). W lipcu 2019 r. portale internetowe obiegła wiadomość, że znany polski nurek i żolnierz Sebastian Marczewski podczas próby bicia re-

kordu świata w nurkowaniu nie wynurzył się z wody. Zamierzał zejść o pół metra niżej – tj. na 333 m – od poprzedniego rekordzisty (na tej głębokości występuje potworne dla organizmu człowieka ciśnienie ok. 34 atmosfer, lecz przyczyną śmierci było zaplątanie się w linę na głębokości 150 m; echodnia.eu). Była to jedna z trzech tragicznych śmierci polskich nurków w ciągu trzech kolejnych lat.

„Filozofia” pasji i marzeń

„Pasja to potężna moc, która pozwoli przewyciężyć wszystkie trudności. Jeśli kochasz to, co robisz, znajdziesz sens swojego życia – i nieważne, co nim będzie, ważne, abyś robił to, co kochasz” – przekonuje Krzysztof Puwalski, znany oficer z jednostki GROM. To zdanie porusza i pięknie brzmi. Ale to za mało. Bo czy naprawdę sensem ludzkiego życia może być COKOLWIEK, byle tylko było robione z pasją albo z miłością? Czy życie ludzkie nie znaczy więcej niż krótka nota w księdze rekordów czy jednodniowy news, który pozwala zobaczyć swoje nazwisko na przesuwającym się pasku na ekranie? Dlaczego dziś już nie stawiamy tego rodzaju pytań? Powie ktoś, że aspiracje, marzenia i dążenie do wielkości nie są przecież niczym złym. I to prawda, ale potrzeba tu pewnego uporządkowania tych zagadnień. Po pierwsze, celem podejmowanych wielkich wyzwań, realizacji pasji nie może być

sława (rozgłos), pozycja społeczna (stanowisko), bo wówczas mamy do czynienia z powszechnymi dziś wadami moralnymi – próżnością lub ambicją.

Próżność pcha człowieka do sławy nawet za wszelką cenę (np. poprzez nagie zdjęcia wrzucone do sieci). Lżejszą od wady próżności jest wada ambicji, która nakierowana jest raczej na osiągnięcie pozycji społecznej, stanowiska, szczytów (istnieje również tzw. zdrowa ambicja – cnota wielkoduszności, ale ona polega na podejmowaniu wielkich czynów dla dobra innych, a nie własnego). Jeszcze inną wadą jest zarozumiałstwo – przecenianie swoich zdolności i możliwości, nadmierna wiara we własne siły.

Realizacja marzeń nie może prowadzić do tego, że jesteśmy gotowi porzucić rozum i nie liczyć się z własnym zdrowiem czy życiem, szafując nim lekkomyślnie, czasem absurdalnie. To jest bowiem kolejna wada – mianowicie nadmierna śmiałość prowadząca do nierozsądnej brawury. Dodajmy, że próżności towarzyszy często marzycielstwo, czyli pielęgnowanie w sobie obrazów wielkich zdarzeń, w których człowiek wyobraża sobie siebie jako bohatera wzbudzającego podziw innych. I znowu: mieć marzenia to rzecz sama w sobie dobra, jeżeli nie stają się one marzycielstwem. Kiedy zatem marzenia, pasje i ideały odgrywają pozytywną rolę w naszym życiu? Kiedy nasze życie szanują – unikają nadmiernej śmiałości, nie wypytywają z niskich skłonności (próżności, marzycielstwa, ambicji), a my w ich realizacji unikamy przekraczania miary naszych sił i możliwości, czyli wystrzegamy się zarozumiałstwa?

Pasje, realizacja marzeń muszą nas jakoś udoskonalać, wzbogacać, a nie degradować. Oddawanie się pasjom nie tylko rozwija człowieka w jakiejś dziedzinie, ale często prowadzi do osiągnięcia mistrzostwa, czyli pewnej doskonałości w czymś (np. w sporcie, grze na instrumencie czy ascezie i rozwoju duchowym).

Rola charakteru w osiągnięciu celów-marzeń

Wszyscy mamy świadomość, jak trudno jest realizować marzenia, służyć ideałom czy osiągać doskonałość w tym, co jest naszą pasją. Zdecydowanie pomocą w tym zakresie służy dobrze ukształtowany charakter. Bez niego naszym poczynaniom towarzyszy najczęściej słomiany zapał. Przypomnijmy, że słowo: charakter ma wiele wspólnego z rzeźbieniem, bo w kształtowaniu charakteru chodzi o przycinanie, kar-

bowanie, jak podczas uderzenia dłutem rzeźbiarza. Charakter ujmuje wszystkie nasze wrodzone skłonności i sprawności i wprowadza w nie ład i hierarchię, nadaje im umiar i wiąże w jedną harmonijną całość. Na charakter składają się przede wszystkim: roztropność, tzn. takie usprawnienie rozumu, by dobrze kierował naszym postępowaniem, następnie sprawiedliwość, tj. takie umocnienie woli, by innym oddawać wszystko, co się im od nas należy, umiarkowanie – takie opanowanie uczuć, by nie podążyły bezwiednie za wszystkim, co człowieka pociąga, i męstwo, tzn. panowanie nad uczuciami, by człowiek nie cofał się przed tym, co wywołuje niechęć i lęk.

Wymieniliśmy cztery cnoty kardynalne, ale charakter moralny człowieka tworzy jeszcze wiele innych trwałych sprawności – cnót. Można powiedzieć, że charakter stanowi właściwie cel wychowania, bo nadaje człowiekowi trwałe moralne oblicze. Ukształtowany charakter wprowadza we wszystkie nasze (ludzkie) działania trzy istotne elementy:

- ogólną stałość;
- umiar w poszczególnych dziedzinach (unikanie nadmiaru i niedomiaru);
- jednolity kierunek naczelnego celu życia.

I tu zatrzymajmy się nad jedną doniosłą sprawą – charakter ma być człowiekowi pomocą w podróży w kierunku naczelnego celu życia. Jeżeli zgodzimy się, że dobra, do których człowiek dąży (bo stały się celem działania), są liczne i nie mają jednakowej wartości, to znaczy, że można je uporządkować i ułożyć w hierarchię. Musi zatem istnieć dobro najwyższe, które jest naczelnym celem życia. Nie wchodząc w głębsze rozważania, powiedzmy jeszcze tylko, że wielorakie cele, jakie sobie człowiek w życiu stawia, nie mogą go oddalać od osiągnięcia celu ostatecznego, lecz powinny być z nim zgodne.

Dobrze ukształtowany, trwały charakter sprawia, że człowiek może się cieszyć tym, czego tak wielu młodym dzisiaj brakuje, mianowicie – silną osobowością. Marzenia i ideały będzie mógł osiągać przede wszystkim ten, kto ma mocny charakter. Dotyczy to również realizacji pasji.

Wszystkie ręce na pokład

Należy podkreślić, że wymienione cztery najważniejsze cnoty, które formują charakter człowieka, muszą rozwijać się równomiernie. Nie możemy żadnej ze



sfer – rozumu i woli (duch) oraz uczucia (ciało) – pozostawić bez wychowawczego wpływu, bo może się okazać, że ta sfera zniszczy nasze pasje i przekreśli marzenia. Weźmy konkretny przykład Roberta Lewandowskiego – wielkiego sportowca, którego pasją jest piłka nożna. On, mimo że spełnił już wiele swoich marzeń (w roku 2021 otrzymał tytuł najlepszego piłkarza na świecie), ma jednak wiele jeszcze do zdobycia (np. w drużynie narodowej). To, co osiągnął – jego umiejętności piłkarskie, sposób gry, sposób odnoszenia się do przeciwnika na boisku, a nawet jego wysportowana sylwetka – to w znacznej mierze efekt pracy nad charakterem.

O jego roztropności wielokrotnie mówią komentatorzy, nazywając ją „piłkarską mądrością”. Chodzi o jego rozumne poruszanie się na boisku, umiejętność przewidywania i znalezienia się w ważnej chwili dokładnie w tym punkcie, w którym trzeba, by oddać celny strzał na bramkę. Dla osiągnięcia poziomu gry, jaki ma nasz najlepszy piłkarz, trzeba męstwa, a ściślej – cnót z męstwa wypływających, takich jak: cierpliwość, stałość, długomyślność i wytrwałość. Cierpliwość to mężne znoszenie bólu (i smutku) spowodowanego przeciwnościami, które nas spotykają. Stałość to determinacja i ciągłość w realizacji dzieła (kiedy widać efekty), niezależnie od trudów. Długomyślność pozwala nie rezygnować, mimo braku dobra (efektów), do którego się dąży. Wytrwałość zaś pozwala walczyć ze znużeniem, które pojawia się po dłuższym czasie

znoszenia bólu i smutku, spowodowanych przeciwnościami.

Gdyby jednak wszystkie te cnoty nasz piłkarski mistrz posiadał, a nie kierował się umiarem w jedzeniu i picciu (umiarkowanie), nie stosował odpowiedniej diety, nie dbał o wagę, czy też np. często nadużywał alkoholu, to dziś nie byłby u szczytu kariery. Wreszcie równie istotna dla niego jako sportowca jest cnota sprawiedliwości – być *fair* wobec rywala, która oznacza po prostu uczciwą walkę – bez dopingu, łamania zasad gry, szanowanie zdrowia przeciwnika (unikanie agresji, fauli na boisku). Stosowanie dopingu niejednemu sportowcowi złamało karierę, natomiast brutalny faul (i niepotrzebna czerwona kartka) w ważnym meczu nieraz był przyczyną utraty przez drużynę wielkiego trofeum.

Na zakończenie warto podkreślić, że wszystkie marzenia, ideały i pasje zabija lenistwo i gnuśność. Człowiek leniwy nie chce walczyć z niechęcią do pracy, natomiast gnuśność to rodzaj bojaźni – odsuwanie od siebie pracy z obawy przed trudem. Dziś chyba najczęstszą przyczyną lenistwa i gnuśności jest obojętność nas i naszą aktywność cyberprzestrzeni.

Literatura wykorzystana:

J. Woroniecki, *Katolicka etyka wychowawcza*;
E. Smółka, *Czym jest charakter?*; D. Zalewski,
Wychować człowieka szlachetnego.



Bogna Białecka

NA CZYM POLEGA PRAWDZIWE SZCZĘŚCIE?

Na czym polega prawdziwe szczęście? Z reguły kojarzy nam się z dobrobytem i dobrostanem. Szczęśliwi ludzie są zdrowi, ich życie jest przyjemne, mają wystarczające zasoby finansowe, by spełniać swoje marzenia.

A jednak nie. Niezwykle ciekawe badania przeprowadził psycholog Martin Seligman, wraz z wieloma zespołami pracującymi na całym świecie. Ich wyniki opublikował w książce *Prawdziwe szczęście*, na jej początku rozprawił się z najbardziej popularnymi mitami.

Pieniądze, zdrowie i przyjemności?

Czy zdrowie i pieniądze dają szczęście? Seligman opisuje badania, w których porównywano poczucie szczęścia u dwóch skrajnych, wydawałoby się, grup – ludzi, którzy właśnie wygrali duże pieniądze na loterii, i ludzi, którzy ulegli wypadkowi skutkującemu trwałym kalectwem. Choć oczywiście z początku różnica w poziomie poczucia szczęścia była dramatyczna, okazało się, że już po roku zrównało się ono w obu grupach. Osoby kalekie przystosowały się do nowego trybu życia, a przypadkowi bogacze doświadczyli minusów swej niespodziewanej fortuny.

Równie zwodnicze okazało się opieranie poszukiwania szczęścia na dążeniu do przyjemności. Liczne badania pokazały, że nawet niewielkie niedogodności mogą zniszczyć przyjemność chwili, a hedoniści wio-

dą w sumie ciężki żywot, starając się planować przyjemności, by uzyskać perfekcję, a potem doświadczając nieuchronnych rozczarowań.

Cnoty i zalety sygnaturowe

Skracając długą historię i wiele różnych badań, Seligman odkrył, że poczucie szczęścia najmocniej zależy od jednej rzeczy – rozwijania i korzystania na co dzień ze swoich zalet, takich jak np. kreatywność, opanowanie, umiłowanie nauki czy piękna.

Badając zalety cenione przez ludzi na całym świecie, w różnych kulturach, Seligman doszedł w rezultacie do 24 uniwersalnych zalet, podzielonych na 6 ogólnych grup (nazwanych przez niego cnotami): mądrość, męstwo, miłość, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość oraz duchowość.

Seligman podaje konkretne wskazówki, jak żyć życiem szczęśliwszym i bardziej spełnionym. Proponuje, by odkryć (np. dzięki opracowanemu przezeń testowi) pięć swoich najlepiej rozwiniętych zalet – i częściej z nich korzystać. Te pięć głównych zalet nazywa sygnaturowymi. To kolejny ciekawy element – badacz nie twierdzi, że należy na siłę rozwijać wszystkie zalety, a właśnie raczej skupiać się na tych już najbardziej rozwiniętych i korzystać z nich częściej, potęgując swe poczucie szczęścia i zarazem zwiększając ilość dobra w świecie.

Jak rozpoznać swoje zalety sygnaturowe? Posiadają one wiele charakterystycznych cech:

- poczucie autentyczności: „to prawdziwy ja”;
- wykorzystywanie zalety: szybkie uczenie się wykazywania się nią w różnych okolicznościach i stałe pragnienie jej wykorzystywania;
- uczucie nieuchronności – gdy tylko jest okazja wykazania się nią, człowiek to robi;
- ożywienie zamiast wyczerpania, towarzyszące jej wykorzystywaniu;
- radość, zapał, entuzjazm, a nawet ekstaza, towarzyszące jej wykorzystaniu.

Stan uskrzydlenia

Według badacza zalety ujawniają się wcześniej w życiu człowieka, dlatego warto obserwować dzieci i pomagać im rozwijać ich zalety. Gdy człowiek korzysta ze swoich zalet sygnaturowych, jest to budujące dla otoczenia, a on sam zarazem doświadcza uczucia tzw. *flow* – uniesienia, uskrzydlenia (zjawisko zbadane z kolei przez psychologa węgierskiego pochodzenia – był nim Michael Csikszentmihalyi). Uczucie to pojawia się, gdy wykonujemy zadanie wymagające wykazania się umiejętnościami. Wtedy koncentrujemy się na zadaniu, czasem do tego stopnia, że tra-

cimy poczucie czasu czy nawet zatracamy własne ja. Towarzyszy temu głębokie zaangażowanie i poczucie pełnej kontroli, a zarazem łatwości działania („wiem, co robię”). Widać też natychmiastowe efekty działania, przynoszące głęboką satysfakcję.

Czynności, którym towarzyszy stan uskrzydlenia, mogą być zdumiewająco różne. Przydarza się on na przykład dzieciom lepiącym bałwana czy bawiącym się w chowanego, które nagle zauważają, że zrobiło się już zupełnie ciemno. Poczucie uskrzydlenia może pojawić się w trakcie wykonywania skomplikowanych ćwiczeń gimnastycznych, partii szachów, gotowania, rozmowy, wspólnego śpiewu, w każdej dziedzinie aktywności człowieka. Doznają go już małe dzieci pogrążone w zabawie, choć nie potrafią go jeszcze nazwać, jak w poniższym przykładzie wspomnienia pewnego studenta:

„Dobrze pamiętam zabawę z przedszkola, kiedy wraz z kolegami budowaliśmy rurociąg z klocków. To była taka radość współdziałania, bardzo emocjonujące wspomnienie. To jest takie odczucie, jak ktoś jest bardzo w coś zaangażowany i bardzo mu na czymś zależy, to właśnie odczuwa taką euforię tworzenia. To była prawdziwa euforia, choć wtedy nie znałem jeszcze takiego słowa. Chętnie wracam do tego wspomnienia”.



Uważność wobec stanu uskrzydlenia

Niektóre osoby mają poczucie, że stany uskrzydlenia zniknęły z ich życia, mimo iż każdy z nas ich doświadczał jako dziecko. Właśnie dlatego warto zauważać stany *flow* u dzieci i zachęcać je, by częściej robiły rzeczy pozwalające wykorzystać swoje zalety.

Co ważne – za wykorzystywanie zalet nie należy nagradzać, sam stan uskrzydlenia jest wspaniałą nagrodą, a dodatkowo za to nagradzając, psujemy tak naprawdę radość. Nie oznacza to, że należy ignorować stany uskrzydlenia, a właśnie zauważać: „Widzę, jak bardzo cię to wciągnęło i jak dużą radość daje!”, i zachęcać do częstszego z nich korzystania. To naprawdę ważne, by nie podcinać dziecku skrzydeł.

Uwaga – nie należy mylić *flow* ze stanem zahipnotyzowania towarzyszącego grom cyfrowym. To zupełnie inny rodzaj zatracenia w czynności, a najbardziej to widać po owocach. Skutki uskrzydlenia to radość, rozwój, pozytywne emocje; skutkiem zanurzenia w grze – podwyższony poziom irytacji, znużenie, a zarazem niezdrowe pobudzenie, będące wynikiem nieustannego wydzielania hormonów stresu.

Po szczegóły warto sięgnąć do książki Martina Seligmana *Prawdziwe szczęście* lub rozwinięcia jej – *Prawdziwe szczęście w praktyce* Dobrochny Bartkowskiej-Nowak i Bogny Białeckiej.



Załączam pełną listę 24 zalet:

1) MĄDROŚĆ I WIEDZA

Ciekawość, interesowanie się światem
 Umiłowanie (chęć do) nauki
 Rozum / ocenianie / krytyczne myślenie / brak uprzedzeń / otwartość
 Inteligencja społeczna / inteligencja personalna / inteligencja emocjonalna
 Kreatywność – pomysłowość / zaradność / inteligencja praktyczna / oryginalność
 Dystans poznawczy / patrzenie z perspektywy

2) MĘSTWO

Odwaga i dzielność
 Wytrwałość, pracowitość, sumienność
 Prawość, szczerłość, uczciwość

3) MIŁOSIĘRDLIWOŚĆ I MIŁOŚĆ

Dobroczynność, wielkoduszność, opiekuńczość, troska
 Miłość i pozwalanie innym, by nas kochali

4) SPRAWIEDLIWOŚĆ

Postawa obywatelska / obowiązek / praca zespołowa / lojalność / odpowiedzialność
 Uczciwe i równe traktowanie innych
 Zdolności przywódcze

5) WSTRZEMIĘŻLIWOŚĆ

Samokontrola
 Rozwaga / dyskrecja / ostrożność
 Skromność i pokora

6) DUCHOWOŚĆ

Poczucie piękna i doskonałości
 Wdzięczność
 Optymizm / nadzieja / patrzenie z ufnością w przyszłość
 Wiara / religijność
 Wybaczanie i litość
 Poczucie humoru
 Zapal / pasja / entuzjazm



Aleksandra Maria Gil

AUTORYTET TO WIĘZ Z RODZICEM

Nastolatek przykuty do gry komputerowej, dziewczyna o władnięta manią ciągłej dostępności w mediach społecznościowych. Siedmiolatek, który chce zostać youtuberem, a nie strażakiem. Małe dziecko skupione wyłącznie na kolejnej bajce na tablecie, bez której nie może jeść czy przez chwilę usiedzieć spokojnie.

Młode pokolenie – znudzone, wyobcowane, odpowiadające wyłącznie na podobne zachowania rówieśników – w przypadku stanowczego „nie” ze strony opiekunów reaguje złością, krzykiem, agresją. Jak w takiej sytuacji wzbudzać pasję, przekazywać ideały? Czy dzisiejsi rodzice kochają mniej, nie są już autorytetami i przez to nie potrafią porozumieć się z dzieckiem? Co się stało? Przecież mamy tyle samo do dania co nasi rodzice, a jednak zmniejszyła się nasza zdolność do przekazywania wiedzy niezbędnej do zdrowego rozwoju. Odpowiedź jest z pewnością wieloosiobowa.

Otóż mamy konkurencję!

Kulturową i technologiczną. Pod koniec lat 90. XX w. ogłoszono, że „wartość rodzicielstwa została zawyżona, a nasz wpływ na osobowość dziecka nie jest tak silny jak w rzeczywistości” (J.R. Harris, *Geny czy wychowanie. Co wyróżnie z naszych dzieci i dlaczego*). I pewnie wszystko byłoby z taką tezą OK, gdyby nie fakt, że nasze dzieci – nie spotykając już nas jako przewodników – zwróciły się do innych, równie niedojrzałych dzieci, a przez to nie są w stanie poprowadzić siebie nawzajem ku zdrowej dorosłości.

To, że nas nie słuchają czy nie uznają naszych wartości za swoje – to jedno i pewnie można by się z tym pogodzić, gdyby były samodzielne, z pomysłem na siebie i przyszłość. Jednak badania oraz rzeczywistość temu przeczą: 43% polskich nastolatków miewa myśli samobójcze, a ponad połowa badanych często czuje smutek i przygnębienie, 62% martwi się o przyszłość.

A co do tego mają technologie? Otóż prof. Jean Twenge (psycholog z San Diego State University) wykazał, że pojawienie się smartfonów miało radykalny wpływ na każdy aspekt życia dzisiejszych nastolatków. Zaczynając od natury ich interakcji społecznych, kończąc na stanie zdrowia psychicznego. Odsetek młodych ludzi cierpiących na depresję i liczba samobójstw popełnianych przez młode osoby od 2011 r. notują kolejne rekordy. Porównując wstępne dane Komendy Głównej Policji z niecałego 2021 roku do całego roku 2020, można stwierdzić, że w grupie dzieci i młodzieży było w Polsce prawie 500 prób samobójczych więcej.

Pomimo naszej troski i zaangażowania widać wyraźnie, że młodzi są sfrustrowani, rodzice i inni dorośli przestali być mentorami, a sama „miłość” przestała wystarczać.

To w czym tkwi sekret?

Aby dziecko widziało w nas przewodnika, wzorzec do naśladowania, musimy być dla niego zarówno bazą, z której wyprawia się w świat, jak i azylem, do którego wraca. Psychologowie rozwojowi zwracają uwagę na pewien szczególnie rodzaj relacji, nazywany relacją

więzi (lub przywiązania), bez którego rodzicom brakuje podparcia. Ta więź między dzieckiem a rodzicem powinna utrzymywać się przynajmniej tak długo, dopóki młody człowiek wymaga rodzicielskiej opieki. Nawet początkowo silne relacje rodzinne mogą ulec zaburzeniu, kiedy dziecko wkracza w świat, który nie wzmacnia tych więzi. Wówczas młodzi tworzą relacje konkurencyjne, i to ta zmiana kierunku budowania więzi powoduje, że rodzicielstwo staje się mniej efektywne.

Młodzi ludzie zwracają się po wskazówki, porady i wzorce nie do mam, ojców, nauczycieli czy innych odpowiedzialnych dorosłych, tylko do swoich rówieśników, którzy są w tej samej sytuacji co oni. Nazwano to zorientowaniem na rówieśników. Więź i orientacja są ze sobą połączone, ponieważ jako ludzie automatycznie działamy na podstawie wskazówek od osób, do których jesteśmy przywiązani. Potrzebujemy wręcz instynktownie, by ktoś wskazał nam kierunek, a rodzic jest naturalnym biegunem orientacyjnym dla dziecka. Jednak w świecie konkurencji (biorąc też pod uwagę czas potrzebny do rozwoju) młody człowiek nie może podążać za dwoma sprzecznymi



informacjami. Staje przed ciągłym, sprzecznym wybo-rem między rodzicami a rówieśnikami. Podkreślić należy, że nie chodzi o to, że coś jest nie tak z samym kontaktem z kolegami, ale o fakt, że dzieci zyskały dominujący wpływ na rozwój innych dzieci, stając się dla nich wzorem do naśladowania.

Umiejętność przywoływania

Już wiemy, że napotkaliśmy konkurencję i to ona przejęła kontrolę, a nasze dziecko zaangażowało się w świat, w którym nie my już „rządzimy”. Na szczęście nasza rodzicielska natura podpowiada, jak i co zrobić. Dzień po dniu to my jako dorośli musimy wrócić do naturalnego nawyku, który mieliśmy, gdy dziecko było niemowlęciem, i nauczyć się je przywoływać do siebie, tak długo, aż dorośnie na tyle, by funkcjonować jako niezależna osoba. Ten rytuał, który występuje również we wszystkich ludzkich zalotach, zwany jest tańcem przywoływania.

Na raz – pokaż się dziecku

Skup uwagę dziecka na sobie od przyjaznej strony, tak aby wywołać jego uśmiech i – jeżeli to możliwe – skinienie głową. W przypadku niemowląt, nawet obcych, pójdzie nam dość łatwo. Ze starszymi nie będzie już tak prosto, gdyż one najczęściej „ogłędają nas”, gdy wydarzy się coś złego. Wraz z wiekiem dziecko coraz częściej napotyka na zakazy z naszej strony. Celem ich nie jest emocjonalne przywiązanie dziecka, a pouczenie czy kierowanie. I tak wraz z wiekiem dziecka, gdy już jako nastolatek zaczyna ono wzbraniać się przed bliskością, powinniśmy z przyjaznego kontaktu wzrokowego przejść na przyjazną obecność w jego przestrzeni.

Częstą wskazówką, którą proponuję rodzicom w sytuacjach konfliktowych, jest pozostanie w pokoju młodego człowieka wraz z komunikatem: „ta sytuacja jest trudna również dla mnie, kocham cię i martwię się, że nie potrafię cię zrozumieć, ja potrzebuję twojej obecności, posiedzenia przy tobie”... i natura „działa”. W większości przypadków po fali buntu przychodzi czas na rozmowę i zrozumienie.

Wzmacniamy również pozytywne przekazy. Dbajmy o rytuały, np. witania się, nawet o poranku, po nocy, tak aby zacząć dzień od rozgrzewki. Pamiętajmy, by nie ulegać presji stosowania metod wychowawczych. Celem naszych wszystkich kontaktów z dzieckiem

powinno być budowanie i wzmacnianie więzi, a nie samo wychowanie.

Na dwa – odruch więzi

Eksperyment: gdy w zagłębieniu dłoni niemowlęcia położymy palec, a mózg malca podatny jest na bodźce, dziecko chwyci go, w przeciwnym razie cofnie rączkę. Nie jest to mimowolny odruch mięśni, a odruch więzi, umożliwiający np. karmienie czy tulenie i świadczący o uaktywnieniu instynktów więzi. To rodzaj skłonienia dziecka, żeby „trzymało się nas”, chociaż fizycznie podstawą tego działania okazuje się kontakt emocjonalny.

U starszych dzieci nie chodzi już tyle o trzymanie w sensie fizycznym, ale o danie dziecku czegoś, czego może się uchwycić i nie chce oddać. Badacze wskazują, że emocjonalne ciepło, radość i zachwyt są najskuteczniejszymi stymulatorami więzi. Błysk w oku, odrobina serdeczności, w przypadku własnych dzieci również przytulenie – to zaproszenie do kontaktu, którego dziecko nie odrzuci.

Kluczowe wydaje się wyzwanie dla rodziców polegające na okazywaniu względów, serdeczności i akceptacji, jak również wsparcia, zwłaszcza w trudnych momentach, kiedy jest rodzajem lojalności: „postąpiłeś niewłaściwie, ale nie zostawię cię samego”. Rodzice mają zapewnić dziecku to, czego nie da mu żaden rówieśnik, i muszą pamiętać, by tej zasady nie wykrzywić. Okazywanie względów to nie spełnianie żądań czy dawanie prezentów. To powinny być pochwały za trud i zaangażowanie w coś wyjątkowego. Podstawą prawdziwego poczucia własnej wartości dziecka jest akceptacja i miłość rodziców oraz radość z tego, jakie ono rzeczywiście jest.

Na trzy – stop niezależności

Ale my chcemy, by dziecko było niezależne! A i owszem, ale jak dorośnie. Najpierw to uczymy je zależności, gdy jest małe, np. wyciągamy do niego rękę i czekamy na reakcję. Gdy więź rozwija się prawidłowo, to dziecko wyciąga rączki w naszą stronę, co oznacza chęć bliskości i gotowości do podporządkowania, bo w zamian otrzymuje komunikat: „jestem dla ciebie wsparciem, twoim bezpieczeństwem”.

Ale po tym etapie nagle stawiamy na niezależność i oczekujemy, by wszystko robiło „samo”. W efekcie dajemy niedojrzałemu jeszcze człowiekowi coś, co

my uważamy za niezależność, wzmacniając w nim uległość i podatność na wpływ grupy rówieśniczej. Mówiąc wprost, w tym naszym oczekiwaniu, by same jadły, same się ubierały, same rozwiązywały swoje problemy – odbieramy im ważny rozwojowo etap: dzieciństwo, a przymuszamy do dorosłości. Zrobimy porównanie do związku – czy mówimy: „nie oczekuj, że pomogę ci w czymkolwiek”, czy raczej: „twoje problemy są moimi problemami, pozwól, że ci pomogę”.

Dążenie do prawdziwej autonomii u naszego dziecka może nastąpić, gdy zaspokojona zostanie potrzeba zależności, jedno z głównych zadań wychowawczych. Prawdziwej samodzielności nie można osiągnąć na skróty, bez umiejętności budowania zależności, czyli więzi, które będą wzmacniały emocje i tworzyły nierozzerwalną nić porozumienia.

Na cztery – zostań przewodnikiem

Gdy bierzemy niemowlę, małe dziecko na ręce i pokazujemy mu świat, wyjaśniając i opisując najpierw osoby i przedmioty, uaktywniamy kolejny sposób na wzmocnienie instynktu więzi. Na etapie szkolnym podobnie dzieje się, gdy mądry nauczyciel-wychowawca objaśnia dziecku sytuację, w której się znalazło. Ten krok ma wiele odmian podyktowanych sytuacją i potrzebami dziecka. Jednak gdy ono dorasta, rezygnujemy z przedstawiania i zapoznawania go ze światem, przestajemy być przewodnikiem i oddajemy to pole rówieśnikom. Rezygnujemy z odruchowej skłonności naszych dzieci na orientowanie się na kogoś, kto jest blisko, tzn. zamiast dać dziecku to, co dla niego najcenniejsze, czyli nas, nasz czas i zaangażowanie, dopuszczamy do tego, by pustkę wypełniło wskazówkami pochodzącymi od równie niedojrzałych młodych osób co ono same.

Przyrównajmy to do sytuacji, w której gubimy się w obcym kraju, obcym mieście i bez znajomości języka. Jaką radość przyniesie nam pomoc ze strony kogoś, kto nieoczekiwanie zna nasz język i może nam pomóc. Instynktownie wręcz traktujemy go jak przewodnika. Z badań wynika, że dzieci zorientowane

wyłącznie na rówieśników nie wiedzą, kim są i dokąd zmierzają, co skutkuje wyzbyciem się uczuć zagubienia i niepewności. Młodzi zorientowani na rówieśników sprawiają wrażenie pewnych siebie i obytych ze światem, ale rzeczywistość jest przygnębiająca. Swe lęki ukrywają pod pozami, co obniża czujność dorosłych i prowadzi do ucieczki w osamotnienie, brak pewności siebie, zachowania ryzykowne, uzależnienia.

Chociaż przepaść otwierająca się między dziećmi a dorosłymi może czasami wydawać się nie do pokonania, musimy wrócić do początków i nauczyć się „na nowo” przywołać więź. Wszystkie umiejętności wychowawcze świata nie zrekompensują nam jej braku. Aby pokonać ten kulturowo-społeczny chaos współczesności, powinniśmy ze śmiałością i odwagą brać na siebie rolę przewodników naszych dzieci. Pamiętajmy, że niezależnie od wieku dzieci cały czas szukają punktu odniesienia, na coś lub kogoś się orientują. Dlatego muszą być kierowane, bez względu na to, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie. Jesteśmy pod tym względem niezastąpieni, bo tylko tak dorosną do prawdziwej niezależności, która będzie fundamentem więzi już z kolejnym pokoleniem.

Literatura wykorzystana:

J.R. Harris, *Geny czy wychowanie. Co wyrośnie z naszych dzieci i dlaczego*; S.I. Greenspan, *Rozwój umysłu. Emocjonalne podstawy inteligencji*; G. Neufeld, G. Mate, *Więź. Dlaczego rodzice powinni być ważniejsi od kolegów*; Jean M. Twenge, *Have smartphones destroyed a generation?*

Cytowane badania:

Raport: *Parenting Matters, Division of Behavioral and Social Sciences and Education, National Academy of Sciences 2016*; *Raport 2.0. Etat w sieci, FEZiP, Poznań 2021*; *Raport 3.0. Etat w sieci, FEZiP, Poznań 2022*.

Tomasz Pitucha

RYTUAŁY RODZINNE

Znam wielu bardzo zaangażowanych rodziców, którzy po latach narzekają, że ich dzieci poszły całkiem inną drogą. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego, przecież każdy człowiek ma swą własną drogę. Dzieci wychowujemy nie dla siebie, ale dla świata i dla nich samych. Gorzej, jeśli ta „inna droga” oznacza porzucenie dobrych zwyczajów, na przykład czytania książek na rzecz komputera albo praktyk religijnych, a często i wiary.

Na tych dwóch ostatnich zagadnieniach chciałbym skupić Państwa uwagę. Twierdzę bowiem, że skuteczną receptą na nabycie przez dziecko zamiłowania do czytania książek, a także wiary, która przetrwa okres dojrzewania, buntu i poszukiwania własnej podmiotowości, są rytuały rodzinne. Postępuję tu przykładem własnym, ponieważ bardziej niż *verba docent* – *exempla trahunt*.

Czytanie dzieciom zaczynałem jeszcze przed ich narodzeniem. Na początku były to fragmenty *Biblii* i słowa miłości wypowiedziane do mojej Żony i do „dzidziusia”. Później – dziesiątki książeczek z wierszykami i bajkami: Juliana Tuwima, Jana Brzechwy, nagrania Misia i Margolci i wiele, wiele innych.

Odkąd tylko nasza pierworodna córka nauczyła się chodzić i wybiegała mi na spotkanie, kiedy wracałem z pracy, teczka szła w kąt, a rozpoczynało się przytulanie, rozmawianie i czytanie. Wierszyki, zwierzątka, kwiatki, lokomotywy – to wszystko i wiele innych spraw niesłychanie interesuje „małe człowieczki”. One pragną bliskości, spędzanego z nimi czasu i tych, mechanicznie czasem nawet wypowiedzianych, rymów i rytmów. Fascynuje je odkrywanie, że to, co widziały i poznały w książeczkach, pojawia się w „prawdziwym życiu”. Kotek, piesek, auto, śmieciara, dom, dziadek



i babcia istnieją w książkach i w rzeczywistości, a książeczki były nawet wcześniej niż niejedna z tych rzeczy i osób w świecie realnym. Ten fakt sprawia, że dzieci traktują książkę jako „świat istniejący równolegle”, podobnie jak świat realny. Myślę, że ten mechanizm jest również pomocny we wprowadzaniu i rozwijaniu u dzieci wiary religijnej. Opowieści o Panu Bogu, Panu Jezusie, wyjaśnianie, co jest w Kościele, co robi ksiądz, natrafia na „poważną” reakcję dziecka, gdyż wie już ono, że rzeczywistość istnieje na różne sposoby.



Książeczki uczą nie tylko dzieci, ale i dorosłych

„Tata, citaj”, to były pierwsze słowa po powitalnych uściskach, kiedy dziecko lądowało na kolanach taty, zaraz po jego powrocie z pracy. I nieważne, że przed chwilą „citała” mama. Z tatą ważne były inne szczegóły, inne brzmienia, rytmy, emocje. Dziecko odkrywało, że z tatą rzeczywistość zyskuje inny wymiar. To takie ciekawe, że na pewnym etapie najważniejsze. „Tata, citaj” było pierwszym żądaniem dwuipółletniej córeczki, zaraz po przebudzeniu, kiedy za oknem wstawał świt, na zegarze była 4.30 rano. I nie wystarczyło recytowanie wierszyków przez sen. Małe paluszki uparcie próbowały podnieść tacie powieki zamkniętych oczu, aby te widziały, co czyta, bo przecież to było takie prawdziwe...

Jak się tworzą rytuały

Po latach nie potrafię dokładnie odtworzyć tego mechanizmu, ale jestem prawie pewny, że są owocem dialogu osób. U nas, tak jak w wielu rodzinach, tą przestrzenią okazał się „biologiczny” rytuał kąpania

i przygotowywania do snu. Prawie zawsze o tej samej porze dnia. Zawsze podobne czynności. Mycie, czesanie, ubieranie, modlitwa, a później przytulanie, głaskanie, czytanie i śpiewanie na dobranoc. Nie przeczę, że nieraz wymagało to cierpliwości, przełamywania siebie, pokonywania chęci obejrzenia meczu lub „goszczenia się” z przyjaciółmi. Dla dzieci to nie są argumenty. One domagają się, żeby było tak jak zawsze. I jeśli rodzic odpowie na to pragnienie z miłością – powstają rytuały. Niby nic wielkiego: codzienne klęknięcie do modlitwy, znak krzyża, podziękowanie za mamę, tatę, ważne sprawy i przygody mijającego dnia. Prośba o zdrowie, aby rączka przestała boleć, prośba za babcię, dziadka, ciocię. Wspólne „Dobranoc, Panie Jezu”. Jeśli dziecko od początku wyrasta w tej atmosferze, przyjmuje ją jako coś naturalnego, rzeczywistego. Rozmowa z Osobą, choć niewidzialną, prowadzi do przekonania, że ta Osoba istnieje. Prośby – wypowiedane, których spełnienie następuje kolejnego dnia, prowadzą do przekonania, że Osoba żyje i działa. Rodzi się przestrzeń dla wiary religijnej.

Rośniemy

Czas upływał, więc należało zmieniać rodzaj czytanej literatury. Zaczęło się na poważnie: Asrtid Lindgren: *Dzieci z Bullerbyn*, a później *Madika z Czerwcowego Wzgórza*, *Emil ze Smalandii*, *Karlsson z dachu...* wspólnie poznawaliśmy życie rodzinne Skandynawów.

Bracia Lwie Serce – tu już robiło się poważnie: dzieci w obliczu śmierci i akcja jak z filmu grozy. Zaczęło działać... Młodsza, mająca 5 lat córka, nie mogąc się doczekać zakończenia opowieści, pewnego dnia zakomunikowała mi po powrocie z pracy: „Tatusiu, ja już wiem, jak się skończyła książka”. Jak to? Czytałyście z mamą? Beze mnie? „Nie, tatusiu, ja przeczytałam sama!”.

Przygoda przeszła tego dnia w inny wymiar, a córeczka przeczytała podczas tych wakacji ponad dziesięć książek i stała się jedną z najaktywniejszych czytelniczek osiedlowej biblioteki. W tym już pomagała mama – również zapalona czytelniczka, będąca liderką w bibliotecznym rankingu. Pierwsza wyprawa miała charakter „inicjacji”. Pani, widząc zapał młodej czytelniczki, sama zaproponowała założenie pięciolatce karty bibliotecznej.

Idziemy dalej

Biblioteczne przygody córek nie zakończyły naszych wspólnych wieczorów. Na warsztat poszło *W pustyni i w puszczy*, choć muszę przyznać, że nie wiem, jak one mogły zasnąć po takiej dawce emocji. Nieustannie towarzyszyły nam też najróżniejsze baśnie i bajki. Bajki zacząłem wymyślać sam. Kiedy z powodu zmęczenia nie miałem siły na czytanie, same zaczęły się pojawiać. Szybko zaczęliśmy je wymyślać razem z dziećmi. Wyobraźnia działała. Zarówno podczas wieczornych rytuałów, jak i podczas codziennych dziecięcych zabaw. Nie komputer i gry cyfrowe, a zorganizowana w pokoju biblioteka, apteka, gabinet lekarski – stały się miejscem, które obowiązkowo musieli odwiedzić mama, tata, babcia, dziadek i inni „chorzy”. Komputer raczej nie był potrzebny... Kiedy na świecie pojawiła się najmłodsza córka, siostry, nieco zawiedzione, że to nie braciszek, o którym tak marzyły, szybko założyły organizację siostrzaną, a na drzwiach pokoju pojawił się napis „Klub małej dziewczynki”.

Bliskość pomimo 2000 kilometrów

Życie niesie różne wyzwania... Kiedy konieczność zapewnienia bytu rodzinie rzuciła mnie na rok do dalekiej Irlandii, potrzeba było znaleźć choć namiastkę bliskości. I wtedy pojawiły się listy. Zacząłem je pisać do żony i osobno do każdej z trzech córek. Zamiast jednego listu – cztery. Pisane ze wzruszeniem, tęsknotą i wielką miłością. Nasza modlitwa, choć klękałiśmy tak daleko od siebie, pozwoliła przetrwać rozłąkę i cieszyć się ponownym spotkaniem. Listy... to szczególnie środek komunikacji. Wiedzieli o tym nasi rodzice, dziadkowie. Od tamtego czasu stały się dla nas również pewnym rytuałem. Nawet po powrocie pisałem je córkom, siedząc w kuchni i wysyłając do pokoju. Rano znajdowały listy na poduszkach... Uczucia z nimi związane są zbyt osobiste, by je tu opisywać. Najmłodsza córka po latach powiedziała, że kiedy jej smutno – czyta te listy ode mnie i płacze ze wzruszenia.

Ze łzą w oku wziąłem do ręki pierwszy wiersz starszej córki, napisany, gdy miała 9 lat. Wiersz adresowany

był do mnie. Do dziś znam każde jego słowo na pamięć. Dotyczył braku czasu na bliskość w naszym życiu. Do dziś nie mogę go recytować bez wzruszenia. Listy przerodziły się w wiersze i piosenki. Ponieważ córki miały już własny „świat książki”, nasze wieczorne spotkania przerodziły się w śpiewanie na dobranoc z akompaniamentem gitary. Leżąc we czwórce obok siebie zasypialiśmy z muzyką na ustach i w marzeniach. To, co pozostało wspólnego, to modlitwa przed zaśnięciem, choć z dużymi już dziećmi nie zawsze było łatwo do niej klęknąć. Myślę, że często robiły to ze względu na utrwalony już rytuał. Z czasem odkryliśmy z żoną, że te kryzysy były potrzebne, aby mogły stać się osobistą decyzją wiary naszych dzieci. Nie zmuszaliśmy ich do form, z których wyrastały, widząc, że odkrywają swój własny sposób modlitwy. Mogę tylko z wdzięcznością w sercu stwierdzić, że „uczeń przerósł mistrza”.

Muzyka

Nasze wspólne śpiewanie na dobranoc jakoś dziwnie przypadkowo zbiegło się z chęcią dzieci do grania na instrumentach. Poprosiły o zapisanie do szkoły muzycznej, podstawowej, a następnie średniej. Dziś jedna z córek jest dyplomowanym dyrygentem i nauczycielem muzyki... Kocha śpiewać dzieciom i uczyć je śpiewu. Kilka lat temu przygotowała nas (mnie i siostry) i dyrygowała nami jako scholą podczas kościelnych uroczystości. Druga po latach powiedziała: „Tato, dziękuję, że uczyłeś nas dobrej muzyki. Moi rówieśnicy słuchają zupełnie czegoś innego, a ja zachwyam się starymi piosenkami”. Z mojego punktu widzenia nie jest to cała prawda. Córka zna współczesną muzykę popularną, ale potrafi docenić dobrą muzykę z czasu swoich rodziców, a nawet dziadków.

Spośród wielu rytuałów obecnych w naszej rodzinie wybrałem tylko niewielką część. To przestrzeń, którą żona świadomie pozostawiła tylko dla mnie i córek. Przez lata dawała nam ten czas, pozwalając, aby był to nasz rytuał. Mój z córkami. Coś, co jednak nie dzieliło, a sprawiało, że mogłem czuć się wyjątkowym tatą. To doświadczenie, które, jestem przekonany, zostanie w nas już na zawsze.



Tekst przygotowano na podstawie wystąpienia na konferencji Tato – bądź, prowadź, chroń z 21 października 2021 r. Część pierwszą opublikowaliśmy w poprzednim numerze „WychowujMY!”.

Janusz Wardak

OJCIEC JAKO STRAŻNIK RODZINY. O SZCZEGÓLNEJ ROLI OJCA W WYCHOWANIU (CZĘŚĆ II)

Obecna trudność z wychowaniem polega na tym, że mamy błędną wizję tego, czym ono jest. Dziecko nie jest bytem idealnym. To, co widzimy negatywnego, nie przychodzi tylko z zewnątrz. Możemy to nazywać jakkolwiek – grzechem pierworodnym albo niedoskonałością natury, ale dzieci nie rodzą się idealne. Gdy dziecko dwu-, trzyletnie bije młodszego brata czy zaczepia inne dzieci w piaskownicy, to nie dlatego, że widzi bijących się rodziców. Kieruje nim egoizm powodujący, że chce coś dla siebie wywalczyć.

Znamy oczywiście wady okresu dzieciństwa, takie jak: egoizm, słaba ocena rzeczywistości, niepohamowana impulsywność, nieodpowiedzialność. Nikt się nie dziwi, że dzieci takie są, wydaje się to nam naturalne.

Ale jeśli rodzice nie wykonują swojego zadania, to dzieci rosną, ale nie dorastają i stają się dorosłymi ze słabościami i wadami dziecka.

Czasami wszystkie te wady dzieci mają już jako dorośli. Co to znaczy? Rodzice nie wytępilli tych wad. Dlatego mamy dorosłych egoistycznych, nieodpowiedzialnych, impulsywnych i tak dalej, zachowujących się jak dzieci, tylko że mają oni 35 lat. Urosli, ale nie dorośli. Ale to nie jest ich wina, jest to odpowiedzialność rodziców.

Jak wychowywać? Dużo mówimy o przykładzie, dawaniu przykładu i o słowie, ale myślę, że często zapominamy o tym, że do wychowania są potrzebne okazje do praktykowania. Nie można wychować do pracowitości poprzez pogadanki o pracowitości, nie ma takich pogadanek, wykładów, książek, filmów na YouTubie, konferencji TED, w wyniku których dziecko stanie się pracowite: „Pokażę ci taki film i potem weźmiesz się do roboty”. Wiemy, że tak to nie działa.

Tak samo uczciwość, męstwo i tak dalej – dziecko musi mieć okazję, żeby zacząć je praktykować. Oczywiście słowo i przykład są ważne, żeby dziecko rozumiało, o co chodzi, ale nie można na tym poprzestawać. Zastanówmy się zatem, kiedy mamy jakieś ideały dotyczące naszego dziecka, jakąś wizję wychowawczą, czy dajemy dziecku szansę na to, by pracowało nad swoim charakterem – męstwem, uczciwością, opanowaniem, sprawiedliwością.

Kolejne ważne pytanie: Kiedy możemy ocenić sukces naszego życia? Jak dzieci dorosną. To jest perspektywa: Jak on dorośnie, jakim będzie człowiekiem? Czy jest on bardzo zadowolony z siebie dziesięcioletkiem? To jest sympatyczne, ale on nie może być z siebie zadowolony i mieć tylu wad, z którymi nic nie robimy. Będzie fatalnym mężem, pracownikiem i współpracownikiem.

Dzieci nie stają się dorosłe, kiedy potrafią zająć się sobą – chociaż często tak nam się wydaje – ale wówczas, kiedy chcą i potrafią zająć się innymi.

Co to znaczy zbudować rodzinę? Na pewno nie to, że potrafię się zająć sam sobą – jako singiel to potrafię. Pytanie jednak: Czy umiem wziąć odpowiedzialność za drugą osobę, która potem będzie moją żoną, a potem za dzieci? To jest wyższy stopień wymagań.

Tymczasem w oczach wielu dzieci ojciec jawi się jako sympatyczny starszy brat lub druga matka na część etatu, i tak to często wygląda. W gruncie rzeczy nie mamy wrażenia, że dzisiaj ojcowie mniej się zajmują wychowaniem niż kiedyś dziadkowie. Myślę, że w sensie czasowym tak nie jest. Ale na czym polega problem? Właśnie na tym, że ojcowie poświęcają dzieciom dużo czasu, ale nie spełniają swoich funkcji ojcowskich, są po prostu kolejnymi opiekunami. Jest

mama i jest tata, jaka różnica? W gruncie rzeczy nie wiadomo. Starszy brat do zabawy. Dzieci nie widzą ojców – co jest oczywiście wyzwaniem trudnym dla ojców pracujących, widzą tylko ojców wypoczywających.

Zatem, jaka jest wizja ojcostwa? Jak będę dorosły, będę odpoczywał w domu jak tata. Bo jak widzę tatę? Tata wraca i gra na komputerze, siedzi przed telewizorem. Jak wygląda życie dorosłych? Tak właśnie wygląda. Bo w praktyce, nawet jeśli pracowaliśmy zdalnie, to i tak dzieci nie rozumiały, co to jest za praca. Co tata robi? Siedzi przed komputerem. To tak jak ja, bo ja też gram, prawda? Niełatwo jest to wyjaśnić. I jest faktem, że dobrobyt – to jest opinia ze Stanów Zjednoczonych, ale myślę, że dotyczy też nas – zmienia naszą młodzież w klasę próżniaczą, jaką kiedyś była arystokracja, przynajmniej częściowo. Z jedną różnicą: nasze dzieci nie odziedziczą tak dużych pieniędzy jak arystokracja. Ten styl życia załamie się, gdy tylko dzieci wejdą w życie dorosłe, bo są przyzwyczajone postępować tak, jakby miały wszystko mieć, ale nie będą miały, bo nie będą potrafiły na to zarobić.

Zatem misją ojca jest chronić i formować charakter dziecka na przyszłość.

Oczywiście ojciec nie jest w stanie nauczyć niczego sensownego, wartościowego, jeżeli dzieci go nie szanują. Zastanówmy się, czy są takie osoby, których nie szanujemy i które są dla nas autorytetem. To jest niemożliwe. Jeśli ktoś dla kogoś ma być autorytetem, to najpierw musi budzić szacunek. W jaki sposób ojciec, który pozwala na brak szacunku (nie mówię absolutnie o żadnej przemocy czy o wymuszaniu, ale o procesie, w którym buduje się swój autorytet); ojciec, który nie dba o swój autorytet, ma przekazywać wartości? To po prostu nie zadziała.

To nasze zadanie jest nie tylko ważne, jest też i pilne, bo czas mija szybko. Niektórzy ojcowie myślą: e tam, jeszcze mam czas. Jednak za chwilę w ogóle nie będą mieli czasu. Wszystko przyspiesza przez media cyfrowe, przez różne procesy: rzeczy, które działy się u dzieci w wieku 15 lat, dzisiaj się dzieją w wieku 13 i 11 lat.

Parę słów na temat mediów cyfrowych. Książka Jamesa Stensona *Ojciec – strażnik rodziny*, do której się

odnoszę, została napisana w dobie sprzed mediów społecznościowych, choć był już internet. Jak funkcjonowały rodziny przed erą gadżetów elektronicznych? Rodzice rzeczywiście mieli monopol na uwagę swoich dzieci. Co się działo w domu? Była cisza i rodzice mówili różne rzeczy, uwaga dzieci nie była rozpraszana przez tyle innych bodźców. Dzieci widziały rodziców przy pracy, w kontaktach z innymi, jak odpoczywali, ale po pracy. Dzieci zresztą bardzo często towarzyszyły rodzicom w pracy. Jak następowało przekazywanie wartości? Nie przez pogadanki, bo dzieci sto razy słyszały, jak rodzice rozmawiali o różnych sprawach z dziadkiem, ciocią, proboszczem, sąsiadem. Dzieci były świadkami tego wszystkiego, bo – można powiedzieć – nie mogły nie być. W związku z tym wiedza o świecie przenikała do nich w sposób naturalny.

Jak powinniśmy patrzeć na media cyfrowe? Nie ma sensu patrzeć na nie jak na wrogów, bo wroga chcielibyśmy pokonać i zniszczyć. Nie o to chodzi, żebyśmy stworzyli świat bez mediów cyfrowych, bo jest to nie-realne. Jednak jeśli media cyfrowe są ewidentnie dla nas konkurentem czasowym, to dlaczego finansujemy i wspieramy konkurencję? Rodzice narzekają na media cyfrowe, ale kto kupuje smartfony? Kto płaci abonamenty? Kto instaluje Wi-Fi? Kto powinien nad tym panować? Narzekamy na rzeczy, które należą do naszej domeny. Jeżeli korzystamy z mediów tak samo jak dzieci, to znaczy w celach rozrywkowych, to jesteśmy na poziomie kumpli. Czasami jest tak, że dzieci są bardziej kompetentne niż my. Zobaczmy, jaki potencjał ma rodzic, kiedy ma władzę nad mediami. Powinniśmy w domu zarządzać mediami cyfrowymi i wtedy wzrasta nasz autorytet. Jeżeli ja zarządzam sferą bardzo ważną dla moich dzieci, to mam autorytet. Jednak czasem ta sfera, tak ważna dla moich dzieci, jest kompletnie pod ich kontrolą, a tata jeszcze pyta, jak różne rzeczy zrobić. W tej sytuacji trudno jest zdobyć autorytet.

Często widzę błędne rozdzielanie pracy zawodowej i pracy w domu. Chodzi o to, że w pracy zawodowej jesteśmy bardzo kompetentni w różnych obszarach, a w podobnych dziedzinach w domu zupełnie sobie nie radzimy. Tymczasem proszę zobaczyć: w pracy też mamy autorytet, bo nawet jeśli jesteśmy podwładnymi, to prowadzimy negocjacje, jesteśmy wyszkoleni w sprzedaży, komunikacji, pracy zespołowej. Wszystkie te umiejętności mają zastosowanie w domu,

w relacjach między dziećmi, ustalaniu planów i zarządzaniu budżetem. Słyszałem raz od mamy, która zarządzała działem dużej międzynarodowej korporacji, że miała problem z trzylatką w przedszkolu. Przychodziła do przedszkola i ta trzylatka na nią wrzeszczała: Jak mogłaś, mamo, się spóźnić? I co ciekawe, mama przeproszała trzylatkę, a nie siostry zakonne z przedszkola, które musiały czekać dłużej w świetlicy. Mama z pewnością nie miała takich problemów z podwładnymi w pracy, ale w domu tak.

Zatem co mogą zrobić ojcowie dla dobra dzieci, nie dla siebie? Walczyć o autorytet i szacunek? Autorytet nie jest po to, żeby ojciec się dobrze czuł. Oczywiście, pewne elementarnie dobre samopoczucie jest nam potrzebne, żeby w ogóle funkcjonować w świecie. Poczucie sprawczości tego, że jestem ważny, jest dla każdego z nas istotne. Ale bez autorytetu i szacunku naprawdę nie jesteśmy w stanie służyć wychowaniem naszym dzieciom. Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością: jeśli dzisiaj nie zapanujemy w domu nad mediami cyfrowymi, które wchodzą w życie rodzin, na trudnym etapie braku narzędzi, które by w jakiś prosty sposób zawładnęły tą sferą, jeżeli nie zaangażujemy się, nie zajmiemy się tym mocno jako ojcowie (myślę, że to jest jednak najczęściej domena ojców), to polegniemy – wszystkie inne nasze wysiłki wychowawcze pójdą na marne.

Zachęcam też do tego, żeby uczyć dzieci pracy – najpierw, kiedy są małe i sprzątają porządnie klocki, po to, żeby później umiały sprzątać, gotować – nie tylko umiały, ale żeby to robiły. Bo dorastające dzieci manualnie i psychologicznie są przygotowane do pracy w domu, tak samo jak tata i mama. Nie ma żadnego powodu, żeby tylko mama gotowała. Tata oczywiście może się włączać, ale dzieci też, i jest to absolutnie realne. A już czynności takie jak obsługa stołu czy sprząkanie? Naprawdę, rodzic powinien być dumny z tego, że robi mało w domu w sensie fizycznym, bo w tych sprawach jest absolutnie zastępowalny. Natomiast w rozmowie z dziećmi, pomaganiu im, występowaniu, rozwiązywaniu różnych trudnych sytuacji – w tym jesteśmy niezastępowalni. Zatem gotowanie i sprząkanie, jak tylko możemy, przekazujemy dzieciom – cała rodzina zyska, a one zdobędą kompetencje potrzebne w życiu dorosłym. Pomyślmy też jako ojcowie, czy nie mamy takich kompetencji zawodowych, które przydałyby się nam w domu, i spokojnie je sto-

sujmy. Nie oznacza to rozchwiania harmonii czy braku tego, co nazywamy *work-life balance*, bo mamy jedno życie. Odwrotnie – jest czymś dziwnym, że jestem kompetentny w pracy, a w tych samych obszarach w domu jestem niekompetentny, bezradny.

I ostatnie zdanie, ale bardzo ważne: Ojcowie, kochajcie żony!

Jeżeli będziemy inwestowali w naszą relację małżeńską, to jest to zawsze ogromny zastrzyk energii, ustalenie hierarchii rodzinnej we właściwej kolejności, podstawa do tego, żeby inne rzeczy dobrze działały.

Jako rodzina zawsze przekonujemy się, że każda inwestycja w nasze małżeństwo – to, że mamy czas dla siebie, wyjeżdżamy razem, mamy randki małżeńskie – sprawia, że cała nasza rodzina korzysta. Szczerze mówiąc, nie znam żadnego małżeństwa (poza sytuacjami zupełnie patologicznymi), które przeinwestowuje w małżeństwo i dzieci na tym tracą. Natomiast odwrotnych sytuacji, kiedy rodzice bardzo skupiają się na dzieciach i traci na tym małżeństwo, znam mnóstwo. Więc spokojnie możemy inwestować i zwiększać te inwestycje z przekonaniem, że jest to z korzyścią dla całej naszej rodziny.





Marta Strugała

STRAŻNICY BUDZĄCYCH SIĘ PASJI

Wszyscy znamy i często bezmyślnie powtarzamy powiedzenie: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”, oznaczające, że to, czego człowiek doświadczy, nauczy się w dzieciństwie, decyduje o jego późniejszych zachowaniach. Taka postawa odnosi się również do naszych pasji i ideałów, którymi zarażamy się w młodości, a potem – w życiu dorosłym – postanawiamy je rozwijać. Jednak zanim przejmujemy stery w swe ręce i siłą własnej woli będziemy dążyć do wytyczonych celów, konieczne okazuje się wsparcie, zaangażowanie, upór i samozaparcie mam, tatusiów, dziadków, cioć i wujków, by dziecięce pasje nie wypaliły się przy pierwszych trudnościach. Zastanówmy się zatem, które znane nam wybitne osobistości swoją drogę do sukcesu zaczęły dzięki rodzinie? Jak wychować nasze dzieci, co przekazywać wnukom, aby w życiu kierowały się pasją i dążyły do spełniania marzeń?

To im zawdzięczają swoje osiągnięcia

Wielu sławnych ludzi – naukowców, sportowców, piosenkarzy, aktorów – niejednokrotnie w osobistych wywiadach podkreśla, że to dzięki rodzinie osiągnęli sukces. Oczywiście, najważniejsze były ciężka praca

i determinacja, ale często potrzebowali oni kogoś, kto zaszczeplił w nich pasję i pociągnął za rękę.

Przykłady powyższej tezy odnajdziemy między innymi w sporcie – Kamila Skolimowska, siostry Radwańskie, Iga Świątek czy Robert Lewandowski. Piłkarz w wywiadzie dla „The Players’ Tribune” podkreśla, że swój sukces zawdzięcza przede wszystkim rodzicom, którzy codziennie zawozili go na treningi, czekali 2 godziny i wracali z nim do domu. I wcale nie robili tego, aby został sławny – ale aby miał możliwość spełniania swoich marzeń. W rozmowie sportowiec przytacza ciekawą anegdotę, która pokazuje, jak bardzo jego tata go wspierał. W tym samym dniu, w którym młody Robert miał przystąpić do I Komunii Świętej, odbywał się ważny dla niego mecz. Tata piłkarza poprosił księdza proboszcza o przełożenie ceremonii na wcześniejszą godzinę, aby Robert mógł wziąć udział we mszy oraz w rozgrywkach sportowych. Ksiądz się zgodził, a drużyna Roberta wygrała mecz. Sam piłkarz mówi na temat swojego ojca: „To on położył mi piłkę u stóp i nigdy nie pozwolił zapomnieć, dlaczego w nią gram. Nie dla tytułów. Nie dla pieniędzy. Nie dla chwały. Nie! Gram, bo to kocham. Dziękuję, tato!”.

W świecie muzyki wielkie wychowawcze sukcesy osiągnęły rodziny Straussów, Bachów (Jan Sebastian był synem muzyka Jana Ambrożego Bacha, a jego bracia i trzej synowie również zostali muzykami) i Mozartów. Najwybitniejszym przedstawicielem tego ostatniego rodu był obdarzony niezwykłym talentem Wolfgang Amadeusz Mozart – niektórzy twierdzą, że do dzisiaj nie narodził się kompozytor, który by mu dorównał. Ale jego zamiłowanie do muzyki nie wzięło się znikąd. Był synem Leopolda Mozarta, niemieckiego kompozytora, który zaszczerpił w nim miłość do muzyki, jednocześnie będąc surowym i wymagającym nauczycielem. Gry na klawesynie Wolfgang uczył się od piątego roku życia, a jako jedenastolatek potrafił grywać na nim z zamkniętymi oczami duety. Już w wieku 5 lat skomponował swoje pierwsze dzieło muzyczne.

W przypadku Mozarta mamy jednak do czynienia z czymś, czego nie powinniśmy fundować naszym wychowankom. Jego ojciec, przelewając na niego swoje ambicje, odebrał kompozytorowi dzieciństwo, czego skutkiem były problemy psychiczne w życiu dorosłym. Z drugiej strony, być może tylko dzięki temu świat może usłyszeć dzisiaj jego genialne kompozycje. Zaplecze muzyczne w rodzinie miała również Justyna Steczkowska, jedna z ważniejszych postaci polskiej estrady. Mama piosenkarki była nauczycielką muzyki, natomiast tata – dyrygentem. Razem stworzyli rodzinny zespół muzyczny, który był motorem rozwoju talentu Justyny na skalę krajową, a nawet międzynarodową.

Nie inaczej bywa w polityce. Brytyjska Premier Margaret Thatcher od dzieciństwa miała w rodzinie do czynienia z działalnością polityczną, ponieważ Alfred Roberts, jej ojciec, czynnie udzielał się w społeczności lokalnej. I mimo że była to tylko aktywność radnego, wykuła „Żelazną Damę”. Z kolei Emmie Watson, gwiazdzie Hollywood, w drodze do kariery pomogła babcia. Wystarczył tylko jeden krok – przyprowadziła jedenaastoletnią dziewczynkę na casting, po którym otrzymała ona główną rolę w filmie.

Co zrobić, aby i moim dzieciom się chciało?

Powyższe przykłady pokazują, że można zarazić dziecko swoją pasją, ale również pomóc mu zrealizować jego własne marzenia. Wielkie rzeczy powstają w ciszy, dlatego powinniśmy pamiętać, aby już w naszych czterech ścianach uczyć dzieci wytrwałości, pracowitości i ponoszenia konsekwencji swoich działań. Angażujemy

je w codzienne prace domowe, organizujemy domowe zajęcia sportowe, wprowadzamy harmonogram dnia, w którym przewidziano czas na przyjemności i obowiązki. Jeżeli je tego nauczymy, to gdy zaczną angażować się we własne pasje, będą realizować je z podobną uporczywością i systematycznością, z jaką wcześniej zbierano zabawki z podłogi.

Pamiętam z dzieciństwa, że najpierw babcia, a potem mama miały „uciążliwe” dla mnie zasady, których nie można było łamać: „do stołu siadamy wszyscy razem”, „dopóki nie posprzątasz, nie wyjdiesz ze znajomymi”, „najpierw pacierz, potem śniadanie”, „dostaniesz, ale musisz podzielić się z rodzeństwem”, „jak idziesz na dwór, to tylko w czapce, szaliku i rękawiczkach”, „najpierw lekcje, potem przyjemności”, „pieniądze nie rosną na drzewach, trzeba na nie zapracować”. I oczywiście: „kiedyś mi za to podziękujesz”. Obie miały rację. Dzisiaj im dziękuję.

Dzięki tym zasadom dziś potrafię odpowiednio zorganizować sobie czas, znaleźć w życiu priorytety oraz dążyć do postawionych celów. Niestety, często w XXI wieku mamy tendencję do pozornego ułatwiania sobie życia. Myślimy, że jeśli mamy dziecko, telefon, komputer, dostęp do różnych serwisów, to wystarczy. Jednak aby rozwinąć prawdziwe pasje, musimy się im poświęcić, ofiarować czas i energię. Wożenie dzieci na treningi i próby, pierwsze koncerty i mecze w dalekich miejscowościach dezorganizuje, co prawda, życie rodziny, a nierzadko wymaga też od rodziców dużego samozaparcia i rezygnacji z własnych potrzeb. Powinniśmy jednak być przykładem i pokazywać dzieciom siłę, jaką jest rodzina. Nie idealna, ale taka, która potrafi sobie poradzić nawet z porażkami. Dzięki temu, kiedy nasze dziecko się przewróci – w którymkolwiek momencie życia – będzie wiedziało, że trzeba wstać i iść dalej, a w kryzysie zwróci się do nas o pomoc.

Nauczmy się motywować nasze dzieci. Nigdy nie mówmy „nie dasz rady”, „to nie dla ciebie”, „nie mamy na to czasu i pieniędzy”. Starajmy się pokazywać, że nie ma w życiu rzeczy niemożliwych, a droga do sukcesu wymaga ciężkiej, niezłomnej pracy. Mam znajomego, który proszony o radę, za każdym razem odpowiada: „kulturalnie, ale trzeba się pchać do przodu. Spróbuj, bo inaczej nie będziesz wiedziała, czy warto było”. Dlatego uczmy nasze dzieci, że warto inwestować w siebie, że warto kierować się prawdą i warto po każdym upadku wstać, żeby spróbować raz jeszcze.



Karolina Strugińska

JABŁKO POD PRĄD

Zwykło się mawiać, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni” – ale jednak nie przy samej jabłonce... Niby „jaka mać, taka nać” – ale czasem raczej marchewka, albo nawet dynia... Wszyscy chcielibyśmy (nawet jeśli wypieramy tę myśl lub ją negujemy – przekonani, że nikogo nie wolno ograniczać, obarczać obowiązkiem realizacji własnych pragnień), żeby nasze progenitury choć trochę były do nas podobne. Nie tyle fizycznie, bo to na szczęście w jakimś zakresie zapewnia nam genetyka, ale właśnie w tej sferze, w której biologia mniej ma do powiedzenia, czyli mentalnie, osobowościowo, światopoglądowo... Od małego staramy się więc kształtować ich rozwój, wpływać na postawę, inspirować do określonych działań, a od innych odstręczać. Świadomi tego, że dzieci uczą się przede wszystkim przez modelowanie i naśladowanie, dajemy dobry przykład! Dbamy o dobór lektur i odpowiednie towarzystwo. I czasem mamy wrażenie, że... wszystko na próżno!

Trochę z autopsji

Dzieci realizują czasem pasje, które im zaszczepiamy, w sposób przewrotny i nieoczekiwany dla rodziców. Przekonaliśmy się dobitnie na przykładzie starszego syna – ja chciałam umysł pierwородnego „obrobić” teoretycznie, ukształtować na humanistę-artystę albo naukowca, tatuś natomiast pracował nad stroną techniczną, znajomością stolarki, robót budowlanych.

A syn... raczej szedł pod prąd... uczył się tak sobie, obsesyjnie rozkręcał zabawki, powodując rozpacz dziadków, rysował samochody z wyszczególnieniem części mechanicznych co do zębaki, dewastował telefony, laptopy i inne sprzęty elektroniczne. Pokój wczesnego nastolatka przypominał warsztat pełen narzędzi, kabli, płyt głównych, trytytek, smarów, klejów... Nie mogłam tego znieść, więc pilnowałam tylko, by ten bałagan nie wychodził poza jego pokój. Trochę śpiewał, trochę tańczył, ale nie miał zamiaru opanować żadnego instrumentu poza banalnym cajonem... Potrafił gotować i świetnie zajmować się młodszym rodzeństwem – i to w sumie postrzegaliśmy jako jego atuty.

W pewnej chwili przejął w swym gimnazjum dowodzenie nad realizacją przedstawień (które w pijarskich szkołach wystawia się często i profesjonalnie, jak w prawdziwym teatrze) – światło, dźwięk, efekty sceniczne... Okazało się nagle, że nie ma sprzętu elektronicznego, którego nie umiałyby naprawić. Wobec tego zdecydowaliśmy, by naukę kontynuował w technikum, poznając tajniki elektroniki. A on... po pierwszym semestrze zaczął chodzić smutny, a na koniec roku, już po klasyfikacji, obwieścił, że elektronika jest świetna jako pasja, ale nie będzie jego zawodem, a on wraca do swojej dawnej szkoły – do liceum. W ten sposób miał „rok w plecy” (dla matki zgroza, bo stracony czas, dla ojca rozczarowanie – bo porzucenie ścieżki kształcenia zawodowego), ale za to jakie doświadczenia! W liceum wcale nie uczył się namiętnie, choć faktycznie zainwestował sporo czasu w przedmioty humanistyczne. Na dobre przejął organizację wydarzeń i opiekę nad sprzętem do realizacji dźwięku. Stał się prawą ręką nauczycieli i dyrekcji w tym

zakresie. Zdał przyzwoicie maturę. Studiuje produkcję i realizację muzyki jako specjalizację na kulturoznawstwie – okazał się w tym tak dobry, że począwszy od pierwszego roku współpracuje z wykładowcami, jest przez nich zatrudniany, zdobywa więcej wiedzy i praktycznych umiejętności niż przeciętny student. Ma za sobą udane realizacje w łódzkiej filharmonii i na różnych imprezach kulturalnych czy sportowych. W pijarskim liceum prowadzi dla uczniów warsztaty z obsługi sprzętu nagłośnieniowego – zdążył już wykwalifikować ekipę, która jest w stanie zastąpić go podczas organizacji spektakli. Motoryzacja i elektronika nie mają dla niego tajemnic – całej okolicy pomaga naprawiać urządzenia i pojazdy, samodzielnie robi projekty i modernizacje w tym zakresie. Trochę realizuje opcję artystyczno-naukową mamusi, a trochę praktyczno-techniczną tatusia. Zupełnie nie tak, jak się tego spodziewaliśmy, ale za to... po prostu doskonale! Sam mówi, że bardzo dużo nauczył się i od matki, i od ojca. I że gdyby nie szukał swojej drogi, nie odniósłby sukcesu.

Mój tata był policjantem...

W sumie mogę powiedzieć, że mam szczęście. Wydawało się, że starania rodziców pójdą na marne, a tu jednak taka miła niespodzianka i powód do satysfakcji: choć robiliśmy coś po omacku, na czuja, kierując się trochę wiedzą, a trochę intuicją, trochę z wyrachowaniem, a trochę spontanicznie – to wyszło! Możemy w swoim potomku rozpoznać siebie! Nie wszystkim idzie tak dobrze...

Chociaż może właśnie nie jest tak źle... Jako młoda osoba wielokrotnie słyszałam, że dzieci są antytezą rodziców. Często rozważałam tę koncepcję i badałam, czy można ją uznać za prawdziwą. Na fali młodzieżowego buntu stwierdzałam, że w pewnym sensie tak, bo przecież konflikt pokoleń to zjawisko powszechnie znane, a następstwo epok historycznoliterackich tylko potwierdza, że niezgoda „młodych” na świat „starych” wnosi nowe wartości, powoduje rozwój, naprzemienne odejścia i powroty kolejnych idei, dzięki którym ludzkość rozpoznaje siebie w swych dziełach. Spór romantyków z oświeceniowymi umysłami, a następnie pozytywistyczny utylitaryzm w miejsce porywów ducha, „trzy pokolenia w *Lalce* Prusa” i neoromantyzm Młodej Polski – to wszystko historia synów odrzucających wzorce swych rodziców lub – jeśli mą-

drzej na to spojrzeć – rozwijających ojcowskie modele w przewrotny sposób.

Podczas jednego ze wspólnych wyjazdów koleżanka nauczyła moje, małe wówczas, dzieci pewnej kreatywnej (dającej się spontanicznie tworzyć) piosenki – możliwe, że ją znacie. A zaczynać mogła się tak:

Mój tata był strażakiem, strażakiem byłem ja.

Mój tata gasił domy, a podpalałem ja!

Ja jestem ciu-ciu,

co pomaluciu

zbiera kamyczki

do zapalniczki.

Mój tata był policjantem, policjantem byłem ja.

Mój tata łapał bandytów, a wypuszczałem ja!

Zwrotek można wymyślić bez liku i na ogół przychodzi nam to bez trudu. I ta właśnie łatwość jest zastanawiająca. Z jaką lubością wyobrażamy sobie bowiem tego synka realizującego całkiem inny model „strażackości” niż prezentowany przez tatę! Jest w nas zatem podświadoma zgoda na przekorę dzieci, na poszukiwanie przez nie własnych dróg, nawet radykalnie różnych od tego, co proponują rodzice. To ważne, by tę zgodę w sobie znaleźć – by nie podcinać skrzydeł, ale obserwować i podążać za dzieckiem, subtelnie korygować, nie wtłaczając w samodzielnie wymyślone role.

PS. Drugie jabłko trochę bliżej maminej jabłonce (finalistka Ogólnopolskiej Olimpiady Filozoficznej – ha!). Chociaż tyle razy na sportowym podium – może jednak bardziej biegaczka, jak tatuś? Już nie mogę się doczekać, by zobaczyć, gdzie spadnie trzecie jabłko (a to dopiero płynie oryginalnie i pod prąd w pięknie swej neuronietypowości!) A czwarte...

I jeszcze refleksja na koniec: „Ilość przechodzi w nicłość”, a przecież chodzi nam o JAKOŚĆ – to nie ulega wątpliwości! Jednak rachunek wydaje się prosty: jeśli dziecko jest naszym jedynym potomkiem, tym łatwiej zdołamy podświadomie „wdrukować mu” własne upodobania, obawy i pragnienia jako jego. Każde kolejne dziecko w rodzinie stwarza szansę na utrwalenie chociaż części idei, wiedzy i pasji rodziców w przyszłym świecie. Tym pewniej doznamy rozczarowania, a może nawet rozgoryczenia, płynącego stąd, że nikt nie przejmie naszej „mentalnej schedy”, im bardziej sami się w swoim rodzicielstwie ograniczymy.

Radostaw Brzózka

10 SPOSOBÓW PRZEKAZYWANIA WIARY W RODZINIE

Wiara rodzi się w rodzinie, ale nie w każdej. Rodzina jest chrześcijańska, gdy rodzice sami autentycznie wierzą i praktykują. W takim domu dzieci i młodzież znajdują zarzewie swojej wiary. Jednak nie zawsze młodzi mogą liczyć na tak solidne źródło życia religijnego. To między innymi słaba wiara rodziców jest przeszkodą do dobrego rozwoju religijności dzieci i młodzieży.

Dziś coraz więcej młodych ludzi nie ma żyjących po katolicku rodziców. Dla nich takie małżeństwo i taka rodzina będzie jednym z życiowych szczytów, na który – być może – zechcą się wdrapać. Może to być ważniejsze osiągnięcie niż sukces zawodowy czy spełnianie osobistych pasji. Zaproponuję kilka praktycznych rad, jak robić to najlepiej. Rady te mogą im pomóc dać swoim dzieciom to, czego sami nie otrzymali w pełni – skarb żywej wiary.

Przekazywanie wiary nie może być jakimś dodatkiem do życia rodzinnego. Wpisuje się ono w rytm codzienności oraz w wielkie chwile każdej rodziny.

1. Rodzinne przeżywanie niedzielnej Mszy Świętej

Gdy dzieci są małe, w zasadzie nie ma alternatywy. Dwójka rodziców nieraz z trudem ogarnie dziecięcą ruchliwość podczas podniosłej atmosfery Mszy. Na pewno nie wolno się zniechęcać groźnymi spojrzeniami czy krytyką poważnych osób.

Zwyczaj wspólnego wyjścia do kościoła warto zachować jak najdłużej. Z nieco starszymi dziećmi trzeba popracować nad punktualnością i odświętnym strojem.

Uczestnictwo we Mszy Świętej powinno być – po pierwsze – świadome. Dzieciom wystarczą proste objaśnienia znaków, symboli, treści biblijnych zmieniających się wraz z biegiem roku liturgicznego. Można na to znaleźć czas w drodze do i z kościoła, albo zaraz po powrocie.

Po drugie – każdy jest zaproszony do czynnego uczestnictwa w liturgii. To proste rzeczy: wyraźne wypowiedzenie odpowiedzi na wezwania, włączanie się w śpiewy. Dzieci zaobserwują dobry przykład, nieraz będzie potrzebna zachęta. Bycie ministrantem, uczestnictwo w dziecięcej scholi i innych formach zaangażowania, które pojawiają się w parafii – oto szansa na czynne uczestnictwo w Mszy i nabożeństwach.

Po trzecie i najważniejsze – dzieci i rodzice powinni brać pełny udział w Eucharystii. Przede wszystkim chodzi o przyjmowanie Komunii Świętej. A to jest możliwe, gdy stała będzie...

2. Wzajemna troska o regularną spowiedź

Wszyscy mamy naturalny opór przed pójściem do konfesjonatu. Wspaniałą pomocą jest rytm pierwszych piątków miesiąca. Młodsze dzieci zapewne trzeba będzie wesprzeć w rachunku sumienia. Starszym – przypomnieć o takiej potrzebie, być może w kontekście upominania, gdy ich postępowanie okaże się dalekie od chrześcijańskich zasad. Duże znaczenie wychowawcze będzie miało wyrażenie w gronie rodzinnym radości z odbytej niedawno spowiedzi.

3. Rodzinne celebrowanie innych sakramentów i świąt chrześcijańskich

Prawdziwie po chrześcijańsku przeżyta pierwsza komunია, bierzmowanie, śluby w rodzinie – to wielka i rozłożona w czasie katecheza. Świątowanie niedzieli, religijnych świąt – także tych „mniejszych”, uczestnictwo w nabożeństwach adwentowych, wielkopostnych, majowych i czerwcowych sprawiają, że zagadnienia wiary stają się w rodzinie czymś naturalnym. Wielką wartość ma też ich odprawianie rodzinne lub sąsiedzkie. Świadczenie dorosłych oraz nasycanie się językiem wiary i znakami religijnymi położą fundament pod bardziej osobiste doświadczenia w życiu duchowym.



4. Codzienna modlitwa rodzinna

Dzięki niej rodzice i rodzeństwo wyznają przed sobą wiarę każdego dnia. Wspólny wieczorny pacierz – niekoniecznie w niezmiennej sztywnej formie, słowo Boże przeczytane w drodze do szkoły, albo wejście na krótko do kościoła podczas powrotu od obowiązków – to oddech, bez którego uduszą się (duchowo) i młodszy, i starsi.

5. Modlitwa małżonków

Jeśli są opory, aby regularnie ją praktykować, niech zmobilizuje nas wspólna intencja modlitewna. Jaka? Za dzieci! Przy młodszych będziemy wypraszać zdrowie i niezakłócony rozwój. Przy starszych – powierzajmy troski wychowawcze i wzrost wiary w ich sercach.

W jakiej formie modlić się razem? Są przecież modlitwy z natury wspólnotowe, np. liturgiczna jutrznia lub nieszpory, Anioł Pański odmawiany o 12 czy 18, koronka do Miłosierdzia Bożego o 15, Apel Jasnogórski o 21... W niektórych etapach rodzicielskiego zapracowania sił starczy na najkrótsze formuły modlitewne lub akt strzelisty. Ale gdy często praktykują je wspólnie małżonkowie, ich dom staje się... domowym Kościołem.

6. Świadectwo osobistego życia religijnego

Dzieci są dobrymi obserwatorami. Z ciekawością zauważą, że mama i tata praktykują modlitwę, także tę indywidualną, osobistą w formie medytacji biblijnej albo różańca. Poproszą o wyjaśnienie praktyk ascetycznych, takich jak piątkowy post czy wielkopostna jałmużna. Nie przeoczą, że na półkach są lektury religijne albo katolickie czasopisma, że towarzyszy nam katolicka rozgłośnia radiowa. W rodzinnych rozmowach usłyszą niejedną raz, jakie postępowanie jest, a jakie nie jest „po chrześcijańsku”.

7. Wspólna lektura Pisma Świętego i zachęta do indywidualnej

Pośród pierwszych książeczek powinna znaleźć się *Biblia* dla dzieci. Najmłodszy lubią powracać do tych samych historii. Nie trzeba będzie namawiać, aby biblijne historie były wielokrotnie czytane i oglądane na pięknych ilustracjach.

Z dziećmi w wieku szkolnym można czytać fragmenty Pisma Świętego przewidziane na dany dzień w mszalnej liturgii słowa. Przed bierzmowaniem można też sięgnąć po *Kompendium Katechizmu Kościoła katolickiego* (składa się ono z ok. 600 bardzo krótkich, dwu-

trzydziesięciu akapitów). Przez kilka miesięcy, np. w czasie wspólnych posiłków, można zapoznać się z tymi treściami, podejmując zaledwie kilkuminutową lekturę.

Warto powtarzać zachęty do samodzielnego sięgania po *Biblię*. Można przecież zainstalować stosowną aplikację w telefonie, wyszukać teksty z komentarzami w internecie. Pismo Święte powinno być pod ręką dla domowników starszych i młodszych.

8. Rozmowy o pracy nad sobą i istotnej roli łaski Bożej w tych zmaganiach

W którym domu nie rozmawia się o wytrwałości w szkolnych obowiązkach. Który rodzic nie nawołuje do troski o porządek w mieszkaniu. Zachęcanie do zgody czy życzliwości między rodzeństwem to także domowa codzienność. Warto przy tej okazji mówić nie tylko o konkretnych sytuacjach, ale też podpowiedzieć, jak pracować nad sobą, nad silnym charakterem. Pomocna w tym będzie edukacja klasyczna (zajrzyj np. na www.edukacja-klasyczna.pl).

Ze wszystkich podpowiedzi najważniejsza będzie jedna, ta o Bogu i człowieku. O tym, że każdy człowiek, choć jest zdolny do dobrego postępowania, jest też grzeszny. Jeśli chce czynić dobro – nie poradzi sobie bez pomocy Boga, który go stworzył. Jeśli chce unikać zła, nie poradzi sobie bez przebaczenia i uświęcenia od Boga, który go zbawił.

9. Korzystanie z rekolekcji (także rekolekcji zamkniętych) przez członków rodziny

Życie rodzinne to codzienność i świętowanie. Czasem jednak udajemy się w podróż. Rekolekcje są taką podróżą duchową. Odbywamy je we własnej parafii, rzadziej w ośrodku rekolekcyjnym (to tzw. rekolekcje zamknięte) lub pielgrzymując.

Rodzice mogą zaproponować każdą z tych podróży duchowych także dzieciom i młodzieży. W wielkim poście również szkolne obowiązki są przerywane, aby ułatwić przeżycie rekolekcji. Jak zawsze olbrzymie znaczenie ma tu przykład mamy i taty. Mogą podzielić się swoimi upodobaniami (np. zachęcić do chodzenia na pieszą pielgrzymkę). Powinni jednak uszanować, kiedy młodzież wybierze inną formę duchowej podróży niż rodzice, np. przystanie do innej grupy parafialnej (z jej rekolekcjami) niż spodziewali się starsi.

10. Uczenie szacunku do sakramentów i innych czynności liturgicznych, jak również osób, rzeczy i miejsc poświęconych Bogu

Nie tak jeszcze dawno nie musiałbym o tym pisać. Księdza szanowano. Nikomu nie przychodziło do głowy znieważać kościoła, święte obrazy. Przedrzeźnianie Mszy kojarzyło się tylko z najgorszymi marginalnymi zjawiskami, takimi jak satanizm.

Dziś niestety także w religijnym domu trzeba tłumaczyć dzieciom, dlaczego nie akceptujemy tych wszystkich strasznych rzeczy. Młodzi ludzie zetkną się z nimi prawie na pewno w internecie, dość często także wśród rówieśników.

Współcześnie, bardziej niż dawniej, musimy uczyć pobożności. Dziecko na stałe powinno przejąć się tym, że najważniejszą rzeczą do zrobienia w życiu jest oddawanie czci Bogu, okazywanie Mu wdzięczności za doświadczone dobro, żal za zło, które od dobrego Boga oddała. O tym jest przecież cały ten artykuł: jak doprowadzić nasze kochane pociechy do chrześcijańskiej wiary, nadziei i miłości. I o tym, jak je uratować od niewiary, beznadziei i nienawiści.

Tych dziesięć sposobów to propozycja. Można je skrócić do pięciu albo opisać dziesięć następnym. Każdy z nich będzie jednak się sprawdzał, bez względu na to, jak w szczegółach wygląda duchowość konkretnej rodziny.

Można przecież praktykować pobożność na wzór wielkich dróg duchowych (zakony, mistycy, objawienia prywatne). Można służyć Bogu, naśladować dawnych świętych lub sługi Boże ostatnich czasów. Jednak nie metoda, styl pobożności ma pierwszorzędne znaczenie w przekazywaniu wiary w rodzinie. Najważniejsze będzie pełne osobowe zaangażowanie mamy i taty.

Ponieważ wiarę – w mocy Ducha Świętego – przekazuje człowiek (rodzic) człowiekowi (dziecku), może się to stać tylko po ludzku. Nie możemy więc zapomnieć, że religijnie wychowujemy osobę obdarzoną rozumem. Chcemy, aby wiarę wybrał wolny (choć młody i niedoświadczony) człowiek. Opowiadamy wreszcie o dobrym Bogu mniejszemu człowiekowi, który chce i może pokochać Boga i drugiego człowieka.



Bogna Białecka

JAK ROZMAWIAĆ O WOJNIE?

Wojna między Rosją a Ukrainą trwa już dość długo i cały czas żyjemy w niepewności, czy Polska nie zostanie w jakiś sposób bezpośrednio w nią uwikłana. W wielu szkołach pojawiły się ukraińskie dzieci, a zatem zarówno problem wojny, jak i uchodźców występuje w rozmowach i troskach dzieci. Jak powinniśmy rozmawiać na ten temat?

Po pierwsze – zadбай o siebie

Najsilniejsze lęki związane z wojną przeżywają dzieci rodziców przepętnionych bojaźnią lub złością. Dzieci odzwierciedlają nasze emocje, zarażają się nastrojami. Dlatego powinniśmy postępować podobnie jak w sytuacji zagrożenia w samolocie. Najpierw nakładamy maskę tlenową sobie, dopiero potem dzieciom.

Jak podać tlen? Przede wszystkim ograniczyć do niezbędnego minimum kontakt z budzącymi groźbę przekazami. Jest to nie lada wyzwaniem, ponieważ w sytuacji stresowej staramy się jak najwięcej dowiedzieć o źródle stresu, z nadzieją, że uda nam się go wyeliminować. Daje to jednak odwrotny skutek, gdyż karmiąc

się emocjonalnymi relacjami, tylko pogłębiany lęk. Najlepiej znaleźć takie źródło informacji na tematy wojenne, które będzie w skrócie, niejako w pigułce, podawać istotne dla nas wiadomości, ograniczyć za to kontakt z mediami społecznościowymi i osobami zalewającymi nas emocjonalnymi łańcuszkami „z zaufanego źródła”. Jak to trafnie ujął autor prześmiewczego mema: „Skąd tu nagle tylu analityków wojennych, normalnymi wirusologami byli?”

Zajmuj się tym, na co masz wpływ

Najbardziej niesamowita reakcja na wojnę w Polsce to masowe rzucanie się do pomocy Ukrainie – w postaci zbiórek darów, pieniędzy oraz pomocy uchodźcom. Jest to piękna odpowiedź na dziejące się, niezależne od nas, zło. Jednak po pewnym czasie część ludzi popadła w kryzys pomagania – wzięli na swoje barki więcej, niż byli w stanie udźwignąć. To kolejny powód, dla którego należy zadbać o siebie, swoją kondycję psychiczną. Podam przykład – pewna pani przestała wychodzić z psem na codzienne spacerki,

które ją bardzo podnosiły na duchu, ponieważ stwierdziła, że czuje się podle, bawiąc się z psem, gdy tyle nieszczęścia dookoła i trzeba pomóc (psem zajęła się dalsza rodzina). To prosta droga do szybkiego wypalenia. Właśnie po to, by być efektywnym w pomocy, trzeba zadbać o swoje zdrowie (to psychiczne). A zatem należy spokojnie rozważyć, jaki rodzaj zaangażowania jest optymalny.

Jak rozmawiać z dziećmi?

Szczerze, prawdziwie i na spokojnie. Warto sprawdzić, na ile wojna jest dla nich zjawiskiem realnym i budzącym emocje. Czasem dziecko samo opowie o tym, co na przykład usłyszało od kolegów w przedszkolu czy szkole, co je przestraszyło, często może być tak, że widzimy zmieniony nastrój dziecka, jednak nie chce ono o tym opowiadać.

W takim przypadku (jeśli domyślamy się, co mogło je przestraszyć) możemy zastosować tak zwaną technikę projekcyjną – opowiedzieć o znajomym dziecku, które ktoś nastraszył czymś, i poprosić nasze dziecko o pomysł, co można zrobić, by pomóc temu z opowiadania. Taki zabieg zwykle otwiera pole do rozmowy.

W opowiadaniu o wojnie najlepszą strategią jest pokazanie, że niezależnie od zła w trudnych sytuacjach pojawia się też dobro. Właśnie to masowe zaangażowanie się Polaków w pomoc jest najlepszym przykładem, który warto wykorzystać. Pokażmy dziecku, że otacza nas wielu dobrych ludzi, którzy nawet w przypadku wojny starają się pomóc.

Jeżeli dziecko zadaje pytania wprost, oczywiście odpowiadamy wprost, zgodnie z prawdą, z naszą wiedzą na dany temat. Odpowiedź: „Nie wiem”, o ile szczerza, jest też dobrą odpowiedzią. Dzieci wyczuwają nasze lęki i kłamstwa. „Mamo, czy Putin zaatakuje Polskę?” – „Nie wiem, też się tego obawiam, ale mam nadzieję, że nie” – to dobra odpowiedź. Ważne jest, że jako dorośli stanowimy dla dziecka źródło poczucia bezpieczeństwa, więc takie rozmowy powinniśmy prowadzić spokojnie, a nie w atmosferze nieradzenia sobie z lękiem.

Jakie zachowania dzieci powinny budzić naszą czujność?

Część rodziców wpada w panikę, gdy ich dzieci zaczynają się bawić w wojnę. Samo w sobie nie powinno to budzić naszej troski. Dzieci przepracowują trudne emocje zabawą. Dlatego groźniejsza może być histeryczna reakcja na to, że dzieci biegają z patykami po podwórku i strzelają, bo dorośli pokazują im, że zamiast przepracowywać emocje, mają je tłumić.

Kiedy należy ingerować? Jeśli w zabawie pojawiają się elementy autentycznego prześladowania kogoś. Ktoś zostaje wyznaczony „Ruskiem” i inne dzieci się nad nim znęcają – taka sytuacja nie może mieć miejsca. Podobnie pilnujemy, by dzieci nie generalizowały i nie przypisywały łatek złych ludzi czy bydła całej grupie ludzi. To niebezpieczne, bo może prowadzić do przemocy wobec niewinnych osób. Powiedzmy, że w szkole uczy się rosyjskie dziecko – nie możemy dopuścić do znęcania się nad nim ze względu na narodowość.



Beata Kozyra

SPOD TABLICY: RODZINNE TRADYCJE ZAWODOWE – ROZWÓJ CZY BALAST

Kiedy się rodzimy, nikt nie wie, jaka będzie nasza życiowa droga, co będzie nas określać i kształtować. Kiedy dorastamy i przechodzimy przez kolejne etapy edukacyjne, zwykle nie widać jednoznacznie, jakie talenty otrzymaliśmy – czy raczej odziedziczyliśmy – po rodzicach lub dziadkach. Także nauczyciel, obserwując rozwój ucznia w klasach 1–3, nie może stwierdzić, kim będzie w przyszłości jego podopieczny. Wzmacnianiu pewnych predyspozycji ucznia sprzyja oczywiście dom rodzinny.

W rodzinach, w których dużo czasu poświęca się na sport i ruch na świeżym powietrzu, dzieci mają zdecydowanie lepszą motorykę dużą, co przekłada się bezpośrednio na motorykę małą oraz ogólną koordynację wzrokowo-ruchową. Takim uczniom łatwiej przychodzi wchodzenie w świat liter i przy-

gotowanie do pisania. Dzieje się tak, jeśli mamy do czynienia z dziećmi, które rozwijają się harmonijnie i bez różnych deficytów. Pamiętajmy jednak, że zwykłe skakanie na skakance, rzucanie i łapanie piłki, jazda na rowerze, rolkach, łyżwach oraz kształtowanie bardziej skomplikowanych umiejętności ruchowych, choćby takich jak pływanie, warunkują funkcjonowanie dziecka z dobrymi rezultatami również w innych sferach. Zatem nie bez powodu mówi się, że ruch rzeźbi umysł.

W domach, w których wzmacnia się rozwój mowy dziecka podczas rozmów, czytania lub opowiadania mu bajek, a także słuchania audycji radiowych – poszerza się zasób słownictwa dziecka, co bezpośrednio przyczynia się do rozwoju jego predyspozycji humanistycznych. Swoją drogą nie jest teraz



doceniane przez dorosłych kształtowanie umiejętności słuchania i uważności na drugiego człowieka. A szkoda – polecam zatem program *Polskie Radio dzieciom*, którego różnego typu audycje, w tym słuchowiska, dostępne są na żywo i online. Umiejętność słuchania to w dzisiejszych czasach naprawdę rzadka i niezwykła cecha.

Gdy dziecko wraz z najbliższymi spędza dużo czasu na łonie przyrody i zachwyca się nią, w naturalny sposób zdobywa wiedzę o otoczeniu. Posiadanie zwierzęcia domowego – pod warunkiem, że włącza się dziecko do opieki nad pupilem – uczy łatwości empatii i uwrażliwia na potrzeby innych, nie tylko braci mniejszych. Przykłady można mnożyć. W rodzinach muzykujących lub tylko słuchających muzyki – nie tylko klasycznej, ale również rozrywkowej – wspólne bywanie na koncertach w filharmonii czy rodzinne śpiewanie uwrażliwia dziecko muzycznie. W rodzinach artystów plastyków dzieci łatwiej otwierają się na piękno.

Warto przytoczyć kilka przykładów z życia znakomitych artystów – plastyków, muzyków, aktorów. Choćby znana krakowska rodzina Kossaków, której cztery pokolenia założyły się dla kultury polskiej. Malarska dynastia: Juliusz, Wojciech, Jerzy, Karol, ilustrowała swoim talentem słynne sceny batalistyczne i dzieje narodu polskiego. Również na polu literatury rodzina osiągała liczne sukcesy – wspomnijmy Zofię Kossak-Szczucką, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską czy Magdalenę Samozwanię. Kolejni bliscy odnoszący sukcesy to uzdolniona artystycznie rodzina Witkiewiczów: Stanisław – architekt i artysta plastyk czy Stanisław Ignacy – pisarz i malarz. Warto wspomnieć jeszcze jedną rodzinę – Marusarzy, której przedstawiciele: Stanisław, Jan czy Helena, rozpoczęli swoją sportową karierę w Tatrach, w zakopiańskich Lipkach czy Wierszykach. Pierwsze kroki narciarskie stawiali na własnoręcznie zrobionych nartach, przyczepionych rzemieniem do kierpców. Rodzina ta założyła się nie tylko dla polskiego sportu, ale także dla Polski – jej członkowie byli kurierami podczas drugiej wojny światowej.

Przekaz wartości i pasji dokonuje się również w sferze duchowej, czego przykładem jest mało znana szerokiemu gronu – poza środowiskiem warszaw-

skich katolików – rodzina Popończyków. Nestor rodu, nieżyjący już Tadeusz Popończyk, to wykładowca Politechniki Warszawskiej i promotor ruchu pielgrzymkowego w Polsce, znany powszechnie w społeczności pielgrzymkowej jako „brat Biała Skarpeta”, kawaler medalu papieskiego. Był współtwórcą słynnych „Siedemnastek” – grupy, która stała się matką warszawskich pielgrzymek akademickich. Uczestniczyli w nich jego synowie z rodzinami. Pan Tadeusz uważał, że trzeba zachować ciągłość pokoleń w życiu akademickim i to w jego wszystkich aspektach, zarówno uczelnianych, jak i pielgrzymkowych.

Przykładów niezwykłych rodzin pielęgnujących wspólne pasje jest mnóstwo. Można zadać sobie pytanie, czy ich osiągnięcia to efekt tylko genów, samorodnych talentów czy atmosfery panującej w rodzinnych domach. A może również hartu ducha i przymiotów osobowościowych, takich jak wrażliwość, dobrze rozumiany upór w dążeniu do celu, konsekwencja?



Dziedzictwo rodzinne, realizowanie wspólnych pasji czy wykonywanie z pokolenia na pokolenia takiego samego zawodu może być impulsem do rozwoju młodego człowieka. Może jednak utrudniać odczytanie prawdziwego powołania. Każdy musi samodzielnie rozeznąć własne uzdolnienia i talent, pojmowane jako predyspozycja intelektualna do robienia rzeczy, mających z założenia wysoką jakość. Nie jest to łatwe w rodzinie, w której kulturuje się jakąś pasję od wielu pokoleń, ponieważ człowiek jest wielowymiarowy i moc rodziny może również zagłuszyć prawdziwe życiowe powołanie.

Idąc dalej, należy pamiętać, że kierowanie rozwojem dziecka przez nadopiekuńczych rodziców może spowodować zahamowanie jego rozwoju. Każda autonomiczna jednostka potrzebuje oddechu wolności. Przeprowadzanie dziecka w dorosłość pod skrzydłami rodziców nic dobrego nie przynosi. Potrzeba buntu, czasem błędzenia, jest konieczna, by uzyskało ono własny kierunek pełnego rozwoju, również w sprawie wyboru zainteresowań, a w dal-



szej perspektywie – zawodu. Niezależność jest więc podstawowym elementem rozwoju.

Tradycje rodzinne mogą też stać się elementem presji w wyborze kierunku przyszłości. Jeżeli dziadek i ojciec są lekarzami czy cenionymi prawnikami, to istnieje obawa, że wybranie tego zawodu nie zawsze jest świadomą decyzją młodego człowieka, a efektem sugestii rodziców. Powodem wyboru uprawianego od pokoleń zawodu może być chęć kontynuowania tradycji rodzinnych lub rozwijania dorobku ojca. Są to oczywiście ważne przyczyny, ale zdecydowanie istotniejsze jest pójście za głosem serca. Zmiana tradycyjnej profesji w rodzinie wymaga dojrzałości, odwagi i umiejętności bycia wiernym sobie. Pozostanie w tym samym otoczeniu nie jest złe – pod warunkiem jednak, że jest to świadomy wybór indywidualnej drogi zawodowej. Jeżeli młody człowiek dokonuje wyboru w opozycji do tradycji rodzinnych, to wiadomo, że wszystko, co osiąga, zdobywa samodzielnie. Wyrwanie się z rodzinnego świata wymaga więc odwagi i hartu ducha. W przypadku klanów prawników, lekarzy, architektów może być to trudne. Pójście szlakiem rodzinnym ułatwia rozwój zawodowy, ponieważ są przetarte szlaki i można liczyć na wsparcie bliskich. Nie jestem jednak pewna, czy warto korzystać z tych benefitów – najlepiej smakuje własny sukces.

Bywa, że obserwując uczniów nawet młodszych klas szkoły podstawowej, widzimy, jak oczekiwania rodziców wobec dziecka są szyte na miarę. Trzeba jednak pamiętać, że zawsze o wyborach dotyczących realizowania pasji czy przyszłego zawodu powinna decydować osoba bezpośrednio zainteresowana.

Reasumując, warto korzystać z dziedzictwa intelektualnego rodziny, ale pod warunkiem że szczerze identyfikujemy się z jej pasjami. Wspólne zainteresowania zbliżają i tworzą niepowtarzalną więź duchową. Jeśli nawet pójdziemy własną drogą, to rozwój i kontynuowanie pasji jest też niewątpliwą wartością służącą do lepszego zrozumienia świata najbliższych i poszerzenia własnych, szeroko pojętych horyzontów.



Hm. Karolina Poniatowska-Lipska i pwd. Dominika Lipska

HARCERSTWEM MOŻNA SIĘ ZARAZIĆ

Harcerstwo to przygoda, harcerstwo to współpraca, harcerstwo to przyroda, rajdy, wyzwania, stopnie, sprawności. Harcerstwo to służba. Gdyby nie harcerstwo, na pewno nie byłabym w tym miejscu, w którym jestem. Harcerstwo mnie ukształtowało, pokazało, jak żyć, jak pokonywać trudności, jak ważny jest rozwój osobisty, ale też rozwój drugiego człowieka. Pokazało, że razem możemy więcej. A teraz harcerstwo pokazuje to moim dzieciom.

Kiedy byłam w szkole podstawowej, w Polsce trudno było o środowisko, w którym młody człowiek może się rozwijać. Powstawały niezależne drużyny harcerskie (niezależne wobec „jedyne go słusznego” harcerstwa – ZHP, które działało w tamtych czasach). Często do drużyn tych należały dzieci i młodzież z rodzin solidarnościowych. Tak stało się z moim bratem, który przez znajomych moich rodziców trafił do drużyny Zawiszackiej. Wyjazdy, sprawności, no i mundur sprawiły, że ja także chciałam być w drużynie. Niestety, byłam za mała. W czwartej klasie szkoły podstawowej ktoś rodzicom dał znać, że dziewczyny mają drużynę i mogą mnie zabrać na zimowisko. Wow! Pierwszy samodzielny wyjazd i to w dodatku w góry. Byłam tam najmłodsza. Mieszkałyśmy w baczówce. Dziewczyny się mną opiekowały. Pa-

miałam, że materac zajmował większość plecaka, buty zamarzały w nocy. Codziennie dostawałyśmy snickersa, ponieważ harcerze z Zawiszy dostawali dary z kurii. Odkładałam te smakołyki, aby przywieźć do domu.

Po roku przeszłam z zuchów do drużyny harcerek. Wspólne rajdy, obozy, zimowiska, ale przede wszystkim bycie razem i różne ciekawe rzeczy, które nas łączyły, sprawiały, że chciałyśmy się spotykać. Harcernalia – przegląd twórczości harcerskiej – odbywał się co roku. Było to dla nas ważne, aby się spotkać, razem pośpiewać, pobawić się. Coroczna msza harcerska u dominikanów w ostatnią niedzielę września, która skupiała harcerzy z Szarych Szeregów i nas, młodych. Były lata, że nie można było wejść do kościoła, taki był tłum. W tej chwili msza harcerska jest odprowadzana na początku października, ale ma już zupełnie inny charakter.

Pielgrzymka Zawiszacka, która skupiała całe środowisko organizacji. Niezapomniane wspomnienia.

Jako harcerze budziłyśmy zaufanie wśród ludzi. Pełniłyśmy różnego rodzaju służbę. Podczas pobytów Jana Pawła II w Polsce, ale nie tylko Jego, innych papieży również – pełniłyśmy tzw. białą służbę. Była to pierwsza pomoc, służba porządkowa lub opieka nad zaginionymi



dziećmi. Najwspanialsze przeżycia, które się z tym łączą, to spotkanie z JPiI na placu Katedralnym w Lublinie w 1987 roku oraz biała służba podczas Świątowych Dni Młodzieży w Częstochowie. Niezapomniane chwile, ale też konkretne działania, które sprawiały, że czuliśmy się potrzebni, wyróżnieni i doceniani.

Harcerstwo to przygoda. Przygoda, w której stajesz się odpowiedzialny za drugiego człowieka. Kiedy masz pod sobą zastęp czy drużynę, kiedy nie wędrujesz sam, musisz myśleć za innych, bo za nich odpowiadasz. To działania, które są inspiracją dla innych, nauką.

Harcerstwo to stopnie i sprawności, to rozwój, pokonywanie trudności, ale też odnajdywanie drogi do wypracowanego celu. To pokazanie, że nie ma rzeczy niemożliwych i wszystko, no, prawie wszystko jest możliwe.

Harcerstwo to rozwój duchowy, puszczaństwo i rozwój intelektualny. Naturalnie, że na każdym poziomie są inne działania i każdy z nas czego innego potrzebuje, ale jest to ważne, aby wszystkie te elementy szły ze sobą równoważnie.

Harcerstwo to wspólne ideały, to Prawo Harcerskie, to przede wszystkim Przysiężenie.

Harcerstwo w rodzinie? Prędzej czy później cała rodzina zostaje wciągnięta w działania harcerskie. Ważne jest, aby rodzice, którzy nigdy nie mieli styczności z harcerstwem, mieli możliwość zapoznania się, o co w tym chodzi.

Często się zdarza, że są harcerskie małżeństwa – tak też jest w naszym przypadku – oboje z mężem jesteśmy

instruktorami. Oboje mamy wspólne zainteresowania turystyczne, potrafimy być otwarci na drugiego człowieka oraz tak zagospodarować czas, aby móc wypełniać swoje obowiązki instruktorskie. Pełnimy różne funkcje na obozach.

Nasze dzieci w naturalny sposób zobaczyły, czym jest harcerstwo. W wyjazdach harcerskich uczestniczyły sporadycznie, ponieważ wychodziłam z założenia, że jeżeli jadę na obóz pełnić konkretną funkcję, a wiem, że dzieci będą mi przeszkadzać, to nie mogę ich zabrać. Nie mogę obarczać innych opieką nad nimi.

Kiedy dzieci były w wieku, w którym mogły wstąpić do drużyny, nie zmuszałyśmy ich do tego. Same zdecydowały, że chcą. Kiedy ktoś mnie pytał, dlaczego syn nie jest w gromadzie zuchowej, odpowiadałam, że żadna na niego nie zasłużyła.

Starsze dzieci są już instruktorami – oboje prowadzą swoje jednostki. Kiedy pisałam ten artykuł i zapytałam córkę, czym jest dla niej harcerstwo, odpowiedziała:

Harcerstwo pozwala robić rzeczy, których normalny człowiek nie mógłby robić – np. biała służba.

Zuchy (a nimi się Dominika zajmuje) wychowują się przez zabawę, uczą się umiejętności, które nie są przekazywane w szkole.

Harcerstwo uczy organizacji – nie tylko czasu, ale organizacji różnych działań – jak załatwić sprawę w urzędzie, uzyskać dofinansowanie, zorganizować kolonię, wyjazd itp.

W sposób nieszablonowy można np. obchodzić święta narodowe – gry miejskie, festiwale, śpiewanki. Poznajemy historię lokalną, ale też poznajemy przy każdym wyjeździe historię danego miejsca.

W harcerstwie Dominika poznała wielu wspaniałych ludzi z całej Polski. Ludzi, którzy myślą podobnie jak ona, mają sprecyzowane cele, łączy ich mundur, radość i entuzjazm działania.

Harcerstwo to marka.

Harcerstwo to służba. Służba wymagająca, czasami frustrująca – jak każde działanie z ludźmi. Służba, która przynosi satysfakcję, kiedy widzi się jej efekty.

Harcerstwo to życie.

Katarzyna Wozinska

ANI PODIUM, ANI SZKLANA POGODA. O ZRÓWNOWAŻONYM PODEJŚCIU DO ZAJĘĆ POZALEKCYJNYCH

Dzisiejsze czasy prawie u każdego z nas powodują efekt „nieustannego wąskiego gardła”. Większości dotyczy rosnące tempo życia, trudna do zatrzymania gonitwa, nadmiar spraw do zorganizowania, zapamiętania i decyzji. W epoce dowolności i indywidualizmu paradoksalnie niewiele rzeczy w wychowaniu dzieci dostaje status „cokolwiek zrobisz, będzie OK”. Skoro tak wiele jest do zrobienia, a czasu tak niewiele... Jak jest z wolnym czasem naszych dzieci?

Opcja przeambicjonowana: „ani chwili do stracenia, cała przyszłość od tego zależy”

Nie bez kozery psychologia sportu to osobna dziedzina, a zwykły psycholog dziecięcy, słysząc o stylu życia dzieci-sportowców, rozkłada ręce. Uzdolnieni, z perspektywami, profesjonalni młodzi sportowcy i uczniowie średnich szkół muzycznych to prawie osobna kategoria pacjentów. Skazani na sukces – prawie, bo do gabinetu trafiają z napadami paniki, chronicznie obniżonym nastrojem, stanami depresyjnymi, samouszkodzeniami,



zaburzeniami odżywiania. Na egzaminach, konkursach zaczynają wypadać gorzej niż na próbach. Elementami powtarzającymi się w tych historiach są straszliwie wymagający, choleryczny trener lub nauczyciel i podporządkowanie całego życia treningom czy ćwiczeniom. Pięta rano, pięta po południu – codziennie treningi. Szkoła muzyczna kilka godzin po lekcjach, a przecież w zwykłej trzeba mieć dobre oceny... Czasem po kilku latach wspaniałych wyników w dzieciństwie, na pogra-

niczu wieku dojrzewania nie chcą dłużej znosić tego stylu życia. Jeśli porzucają to, co było – powstaje wielka pustka, którą trudno zapełnić. Nie zawsze potrafią przeciwstawić się zachłyśniętym sukcesami rodzicom – i kolejne lata trwa powolna degradacja, autosabotaż. „A zapowiadał się tak wspaniale, dlaczego nie ćwiczy więcej?” – „Dlaczego nie potrafi się wyluzować?”

Wybitnie zdolne dzieci to całkiem powszechne zjawisko – niektóre mają jednak tego pecha, że są wybit-

ne w dziedzinach, w których postęp trudno pogodzić z dbałością o całą osobę. Z mojego, być może niefachowego punktu widzenia, ta właściwość dotyczy zwłaszcza nauki gry na instrumencie i sportu. Brak równowagi w godzinowym rozkładzie tygodnia musi być uzupełniony zrównoważonym podejściem rodziców. Najłatwiej zdefiniować, co nim nie jest! Presja na wyniki, nacisk na równoległą (idealną!) naukę szkolną, niezdolność do spostrzegania swojego dziecka w szerszym kontekście niż dziedziną „sukcesonośną”. I niezdolność do „odpuszczenia”.

Uczciwie trzeba przyznać, że w pewnych sytuacjach, przy niektórych uwarunkowaniach osobowościowych, dziecko prze jednak do sukcesu w niewłaściwym, szkodliwym dla siebie, stylu. Taka sytuacja wymaga wielkiej mądrości od rodziców.

Opcja wycofana: „nie ma co nakręcać, niech robią, co chcą”

Oczywiste dla obserwatorów „przedobrzeń”, widoczne u rodziców dzieci z ambicjami, uzasadnia dla wielu osób pozornie zdroworozsądkową postawę luzu co do czasu pozaszkolnego dzieci. „To ich sprawa, najlepsze wybory w tym obszarze to własne wybory dziecka”. „Jeśli brakuje mu chęci do ćwiczeń, nie będę go zmuszać, ważne, żeby jego to cieszyło”. „Przystało mu się podobać, to przecież siłą go nie zaciągnę”. „Niech ma dzieciństwo, po co świrować”, „Kiedyś nie było zajęć pozalekcyjnych i dzieci się bawiły”. Wszystko pięknie, ale to tylko czasem najlepsza opcja. Dlaczego? Odpowiedzi jest kilka.

Pierwsza z nich dotyczy tego, jak wyglądają współcześnie „puste przebiegi” w planie dnia większości dzieci. Przykro mi, ale te powyżej siódmego roku życia coraz rzadziej swobodnie grają w piłkę, układają klocki i bawią się z rówieśnikami w konstruowanie domku na drzewie. Gdyby rzeczywistość dziecięca przypominała swoją różnorodnością i pełną energią ekspansywnością świat dzieci z Bullerbyn, skłaniałabym się do tej opcji. Tak jednak nie jest. Dzisiaj w Bullerbyn panuje „szklana pogoda”. Małe paluszki robią klik-klik-klik. Dzieci (a potem młodzież) zostawione same sobie nie są już wolne i swobodne, tylko... swobodnie się zniewalają.

Druga odpowiedź: tylko nieliczne dzieci jednocześnie cechują wystarczająca pomysłowość, motywacja, odwaga, wytrwałość i... umiejętność zadbania o bazę informacji, żeby badać różne obszary swoich możliwo-

ści, a następnie rozwinąć te szczególnie obiecujące. Wystarczy nieśmiałość, problemy relacyjne, zwykłe lenistwo (albo: problemy w uczeniu się, często nim maskowane), brak wiedzy o możliwościach – zwyczajne w dzieciństwie rzeczy – i mamy konkretny ubytek w życiu konkretnego dziecka. Bo czy sama szkoła i chaotycznie dobierane przez dziecko zajęcia pozalekcyjne („bo koleżanka na to szła”) wystarczą? Chociażby dlatego, by życie dziecka nie ograniczało się do encyklopedycznie zorientowanej podstawy programowej – zaangażowanie dorosłych, umiarkowane, ale czujne – jest nie do zastąpienia.

Opcja zrównoważona: „gnōthi seauton, a dorosłość stoi na pasjach (chyba że się ich nie ma)”

Dzieciństwo służy przygotowaniu do dorosłości. Dorosłość będzie prawdopodobnie długa, obfitująca w wyzwania, niełatwa. Na im więcej okoliczności się przygotowujesz, im bogatsze jest twoje nieformalne *curriculum*, im bardziej znasz siebie samego – tym lepiej. Twoim paliwem będzie radość z działania, świadomość swoich umiejętności i pożytku, jaki umiesz dać innym, oraz to, co niezależnie od życiowych kryzysów sprawia, że chce się żyć: pasja.

Jeśli ktoś umie w te klocki bez zajęć pozalekcyjnych, bez mistrzów, bez konkursów, wyzwań, inspiracji z zewnątrz; bez testowania się w różnych dziedzinach; bez organizacji takich jak harcerstwo czy duszpasterstwo młodzieży – OK, może urodził się w czepku. Może jest mu pisane życie nieco monotonne, solidne, bez fajerwerków? A może... nie wie, co stracił, bo nigdy nie próbował. Poznać siebie, swoje możliwości i upodobania można jedynie w działaniu, w próbowaniu.

Kluczem do mądrego stanowiska w sprawie pozalekcyjnych aktywności jest dobre poznanie własnego dziecka i towarzyszenie mu w zmianach, które przechodzi, a także otwartość na fakt, że w życiu konkretnej osoby spełnienie niekoniecznie będzie związane czy to z materiałem szkolnym, czy z treścią danych zajęć. Natomiast warto pamiętać, że może tak być. Nie zamykajmy dróg przed swoimi dziećmi (w tym także drogi ucieczki z „wąskiego gardła”). Zobaczmy spektrum opcji oraz to, że niektórych możemy nie dostrzegać. Wyluzujmy, ale nie odpuszczajmy – pomóżmy szukać pasji i dopingujemy, gdy jest trudno. Z wrażliwością na całego człowieka w dziecku.



CO NOWEGO?

Edukacja dla bezpieczeństwa – zmiany planowane od 1.09.2022 r.

Planowane przez Ministerstwo Edukacji i Nauki i przygotowywane we współpracy z Ministerstwem Obrony Narodowej zmiany w podstawie programowej przedmiotu edukacja dla bezpieczeństwa polegają na rozszerzeniu i uzupełnieniu treści tego przedmiotu w zakresie wymagań związanych z obronnością państwa oraz z przygotowaniem uczniów do sytuacji zagrożeń związanych z wojną.

W przypadku edukacji dla bezpieczeństwa na poziomie szkoły podstawowej (klasa VIII) przewidziana jest również teoria bezpiecznego obchodzenia się z bronią, natomiast w szkołach ponadpodstawowych (klasa I) wchodzi w grę podstawa strzelania wraz z częścią praktyczną prowadzoną z wykorzystaniem bezpiecznych narzędzi do ćwiczeń strzeleckich, takich jak np. repliki broni strzeleckiej (ASG), strzelnice wirtualne lub laserowe.

Zakres zmian w edukacji dla bezpieczeństwa przygotowywany jest z uwzględnieniem m.in. możliwości ich wprowadzenia już od nowego roku szkolnego.

Projekt zmian w rozporządzeniach Ministra Edukacji i Nauki w sprawie podstawy programowej kształcenia ogólnego dla szkoły podstawowej oraz dla szkół ponadpodstawowych w tym zakresie został skierowany do konsultacji publicznych w czerwcu br.

Możliwość nauczania języka łaćńskiego w klasach VII i VIII szkoły podstawowej oraz w klasach szkoły ponadpodstawowej jako obowiązkowego drugiego języka obcego (do wyboru)

Możliwość ta – w ramach obowiązkowej nauki drugiego języka obcego – wiąże się z koniecznością opracowania podstawy programowej języka łaćńskiego, a także zmian w obowiązującej podstawie programowej kształcenia ogólnego, ramowych planów nauczania dla szkoły podstawowej oraz ponadpodstawowej w zakresie nazewnictwa języka obcego.

Obecnie obowiązująca podstawa programowa kształcenia ogólnego w zakresie języka obcego nowożytnego jest wspólna dla wszystkich języków obcych nowożytnych i w szkole podstawowej obejmuje dwa etapy edukacyjne (klasy I–III oraz IV–VIII), w szkole ponadpodstawowej natomiast – trzeci etap edukacyjny.



Patrycja Przybysławska

PRZEZ RODZINĘ KU PRZYSZŁOŚCI – JAN PAWEŁ II O RODZINIE

Jana Pawła II nazywamy często papieżem rodziny. Dużo miejsca w jego nauczaniu zajmowały kwestie związane z małżeństwem i rodziną jako sanktuarium życia. Papież Polak zapoczątkował też Światowe Spotkania Rodzin, odbywające się cyklicznie w różnych zakątkach globu. Przed pierwszym z nich, w 1994 roku, przygotował list do rodzin *Gratissimam sane*, w którym przedstawił piękno i godność powołania do małżeństwa i rodzicielstwa.

Jan Paweł II pisał, że rodzina jest drogą Kościoła, od której nie może się on odłączyć. „Człowiek wywodzi się z rodziny, aby z kolei w nowej rodzinie urzeczywistnić swe życiowe powołanie”. Zwracał także uwagę na to, że Bóg wszedł w dzieje ludzi właśnie przez rodzinę, czym podkreślił jej wartość i uświęcił godność. I chyba właśnie ze względu na wartość rodziny współcześnie mamy do czynienia z wieloma zagrożeniami, które w nią uderzają – pośrednio lub bezpośrednio – niszcząc jej fundamenty lub zniekształcając jej obraz. Już prawie trzydzieści lat temu papież zauważał:

„Niejednokrotnie trudno się oprzeć przeświadczeniu, iż czyni się wszystko, aby to, co jest «sytuacją nieprawidłową», co sprzeciwia się «prawdzie i miłości» we wzajemnym odniesieniu mężczyzn i kobiet, co rozbija jedność rodzin bez względu na opłakane konsekwencje, zwłaszcza gdy chodzi o dzieci — ukazać jako «prawidłowe» i atrakcyjne, nadając temu zewnętrzne pozory fascynacji. W ten sposób zagłusza się ludzkie

Umniejszanie wartości społecznej małżeństwa oraz brak poszanowania nienaruszalnej godności ludzkiego życia w żadnym przypadku nie mogą sprzyjać postępowi społecznemu. To, co bywa przedstawiane jako postęp cywilizacji lub osiągnięcie naukowe, w rzeczywistości jest często klęską z punktu widzenia ludzkiej godności i społeczeństwa.

sumienie, zniekształca to, co prawdziwie jest dobre i piękne, a ludzką wolność wydaje się na łup faktycznego zniewolenia”.

Źródła w miłości małżeńskiej

Podstawą rodziny jest małżeństwo sakramentalne – *communio personarum* (komunia osób) – podkreślał za wielowiekowym nauczaniem Kościoła Jan Paweł II. Ten nierozzerwalny związek kobiety i mężczyzny jest fundamentem rodziny, daje początek wspólności. Człowiek, obdarzony przez Boga wolną wolą, może podjąć decyzję o wstąpieniu w związek małżeński, o ofiarowaniu siebie drugiej osobie. Papież przypomina, że są dwa aspekty zjednoczenia małżeńskiego – jednoczący oraz prokreacyjny – i nie można ich rozdzielać. Oskarżanie Magisterium Kościoła o zacofanie i działanie na szkodę ludzi, kiedy jednoznacznie sprzeciwia się ono wszelkim nurtom antykoncepcyjnym czy proaborcyjnym, wynika z niezrozumienia istoty małżeństwa, w którym zjednoczenie ma zawsze angażować odpowiedzialność obojga ludzi i nie może dopuszczać do tego, by byli dla siebie jedynie



środkiem „użycia”. Owo zupełnie nierozumiane przez współczesny świat „zacofanie” Kościoła chroni najważniejszy fundament rodziny, chroni człowieka poniekąd przed nim samym.

Istota rodzicielstwa

Bardzo pięknie pisze Ojciec Święty o istocie rodzicielstwa. Podkreśla, że chociaż jest ono biologicznie

Dzieci są nadzieją, która rozkwita wciąż na nowo, projektem, który nieustannie się urzeczywistnia, przyszłością, która pozostaje zawsze otwarta. Są owocem miłości małżeńskiej, która dzięki nim odżywa i umacnia się.

zbliżone do prokreacji innych istot żywych, istotowo podobne jest do Boga samego. Boskie „My” jest prawozorem ludzkiego „my”. Małżonkowie stają bowiem wobec stwórczej mocy Boga – rodząc dzieci współdziałają z Nim w dziele stworzenia. Powołanie do życia nowego człowieka otwiera się nie tylko na doczesność, ale na całą wieczność w Bogu. Geneza człowieka to więc nie tylko sprawa biologii, ale stwórcza wola Boga, który chce każdego człowieka dla niego samego. Małżonkowie chcą dzieci dla siebie i dla rodziny. Natomiast Boże „chcenie” jest poza czasem, poza przemijaniem, odwieczne. W momencie poczęcia człowiek jest powołany do wieczności w Bogu, dlatego już wtedy powstałe życie jest święte i nie jest jedynie „własnością” rodziców – podkreśla Jan Paweł II.

Dar czy obciążenie?

Nasuwają się tu pytania, które współcześnie wybrzmiewają coraz dotkliwiej nawet w środowiskach katolickich, chrześcijańskich, wśród ludzi, którzy generalnie szanują świętość życia: czy dzisiaj dziecko rzeczywiście jest darem? Czy tak jest postrzegane? Czy może przychodzi tylko po to, by zabierać (czas, pieniądze, możliwości, wolność) i stąd pokusa, żeby go nie było? Te pytania, stawiane przez Papieża Polaka prawie trzydzieści lat temu, są dziś chyba jeszcze bardziej aktualne.

Gdzieś głęboko w naszym myśleniu zakorzeniło się postrzeganie rodzicielstwa jako poświęcenia i kosztów. Poświęcenia kobiety, która znosić musi uciążliwości stanu błogostawionego, urodzić dziecko i czasem zrezygnować z kariery zawodowej (lub pewnych jej aspektów), aby dziecko wychować. Kosztów związanych z utrzymaniem i wyposażeniem dzieci, żeby miały „łatwiejszy start”. W końcu współcześnie potomstwo traktuje się jako zagrożenie dla planety (sic!), niepotrzebne obciążenie i tak już wyeksploato-

KLASYCY WYCHOWANIA

wanej Ziemi... Nasze myślenie oderwało się daleko od biblijnego „bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną”. To, co w swej istocie jest błogosławieństwem i spełnieniem naturalnych pragnień, staje się przedmiotem kalkulacji i jest postrzegane jako zagrożenie.

Odnawianie miłości

Rodzicielstwo powinno być źródłem odnawiania miłości małżeńskiej, pisze w swoim liście do rodzin Jan Paweł II. Jednak często zdarza się tak, że pojawienie się dzieci – zamiast umacniać małżeństwo – psuje relacje, staje się głębokim kryzysem, z którego nie wszyscy wychodzą obronną ręką. Święty Papież podaje tu proste rozwiązanie, które jednak nie musi być łatwe w realizacji. W pierwszej kolejności należy bowiem zastanowić się, czy ów kryzys w związku z pojawieniem się potomstwa nie jest spowodowany tym, że egoizm małżonków jest większy od ich miłości. Druga sprawa to modlitwa – modlitwa, która powinna przenikać małżonków i skupiać się właśnie na tym neuralicznym momencie przejścia od małżeńskiej miłości do rodzicielstwa. To trudny i wymagający moment.

Cywilizacja miłości

W kontekście nauczania Jana Pawła II często pojawia się ukuty przez niego termin „cywilizacja miłości”. Cywilizacja miłości, która ma być drogą Kościoła. To w niej rodzina odnajduje właściwe sobie miejsce – jest jej centrum i sercem. Jednak w związku z dotykającym nas od lat kryzysem prawdy i podstawowych pojęć, ta rodzina – czasem mocno zniekształcona – może stać się karykaturą, zgodnie ze współczesnym utylitaryzmem, w którym ostatecznie osoba staje się przedmiotem działań, a nie ich podmiotem. Kobieta staje się przedmiotem dla mężczyzny, dzieci – przeszkodą dla rodziców, rodzina – instytucją ograniczającą wolność swoich członków. To skutkuje trendem proaborcyjnym i powszechnością antykoncepcji. Papież pisze, że jest to naprawdę niebezpieczne dla rodziny: grozi utratą prawdy o niej samej, a co za tym idzie – utratą wolności i miłości. Miłość staje się bowiem tylko używaniem, zaspokajaniem własnej pożądlivosti i czyni człowieka niewolnikiem własnych popędów i słabości. Tak zniekształcona rodzina może nie tylko nie świadczyć na rzecz cywilizacji miłości, lecz także stać się jej całkowitym zaprzeczeniem.



Personalizm zamiast indywidualizmu

Prawdziwa miłość – uczy Jan Paweł II – jest wymagająca. Tylko ten, kto umie wymagać od samego siebie, może też wymagać miłości od drugich. Przeciwnościem takiej miłości jest egoizm, który ma różne oblicza: jednostkowy, egoizm we dwoje, a także społeczny, klasowy czy nawet narodowy. Miłość realizuje się na drodze przewyższania tego egoizmu.

Papież przestrzega przed indywidualizmem, który w istocie swej jest egoistyczny, zagraża cywilizacji miłości i rodzinie. Trzeba by się nad tą kwestią chwilę zatrzymać. Wydaje się, że współcześnie, dużo bardziej niż za życia Papieża Polaka, panuje moda na podkreślanie indywidualizmu i wychowywanie kolejnych pokoleń w tym właśnie duchu zawołanego egoizmu. Skupienie jednostki na sobie (i tylko na sobie!) może stanowić prawdopodobne źródło aktualnego kryzysu rodzin, a także kryzysu demograficznego wielu narodów. Ten indywidualizm i zniekształcony obraz rodzi-

ny powodują, że młodzi ludzie wcale nie chcą stać się kiedyś rodzicami, traktując to jako ograniczenie ich wolności i niezależności, a nie jako drogę spełnienia podstawowego ludzkiego powołania.

Przeciwnieństwem indywidualizmu jest personalizm, który, ze swej natury altruistyczny, jest właściwą drogą cywilizacji miłości – nie rezygnuje z jednostkowości, odrębności i godności każdej istoty ludzkiej, ale ukierunkowuje ją na odpowiedzialną miłość i czyni zdolną do daru z samej siebie.

Wychowanie

Dużo miejsca w swoim liście do rodzin poświęca papież także kwestii wychowania. Pisze, że wychowawca to ten, który „rodzi” w znaczeniu duchowym. To zadanie jest pierwszym prawdziwym apostołstwem, które muszą podjąć rodzice. Co więcej, Jan Paweł II zauważa, że wychowanie to obustronne obdarzanie człowieczeństwem. Nie jest tylko tak, że to rodzice wychowują dzieci – przez relacje z nimi sami są też wychowywani. Poza tym muszą kroczyć drogą samowychowania, aby dobrze kierować powierzonymi im dziećmi i doprowadzić je do momentu, w którym one także będą mogły dzieło samowychowania podjąć.

Papież pisze też o kwestii znowu współcześnie bardzo niepopularnej, mianowicie o czci należnej rodzicom. Nowoczesne nurty wychowawcze proponują często zrównanie pozycji dzieci i rodziców, układy partnerskie, pozbawione naturalnej hierarchii. Jan Paweł II przypomina, że cześć należna rodzicom to cześć należna Bogu. Jednocześnie zwraca uwagę na to, że chociaż owa cześć należy się bezinteresownie, rodzice winni postępować tak, by być jej godni. Dopiero rodzina, w której ten Boży porządek zostanie zachowany, może stać się właściwym fundamentem zdrowego społeczeństwa, w którym obowiązujące prawa człowieka są ugruntowane właśnie na tym podstawowym „czciz” Dekalogu, a życie narodów, przebiegające przez rodzinę, oprze się na czwartym przykazaniu.

W swoich tekstach kierowanych do rodzin papież zawsze podkreślał, że rodzina, jako fundament społeczeństwa, jest w samym środku zmagania między dobrem a złem. Od jej jakości i piękna zależy kształt wszystkich pokoleń. To właśnie poprzez rodzinę cała ludzka egzystencja jest skierowana ku przyszłości. Jeśli pozwolimy na to, by rodzinę zniekształcały nowoczesne prądy i ideologie, damy zgodę na powstanie

przyszłych pokoleń niezdolnych do bezinteresownego daru z siebie, niezdolnych do przekazania Boskiego daru życia.

Nauczanie Jana Pawła II na temat rodziny referuję głównie na podstawie listu *Gratissimam sane* z 1994 roku.

Niestety, ataki na małżeństwo i rodzinę stają się z dnia na dzień coraz silniejsze i groźniejsze, zarówno na płaszczyźnie ideologicznej, jak i w sferze prawodawstwa. Próby traktowania rodziny jako prywatnego związku uczuciowego, pozbawionego znaczenia społecznego; stawianie na tej samej płaszczyźnie praw jednostki i praw wspólnoty rodzinnej zbudowanej na więzi małżeńskiej; zrównanie w prawach różnych form współżycia ze związkiem małżeńskim; dopuszczanie, a czasem wręcz zachęcanie do zabójstwa niewinnych ludzkich istot przez dobrowolną aborcję; wypaczanie naturalnych procesów prokreacji przez stosowanie metod sztucznych – to tylko niektóre ze zjawisk, które w wyraźny sposób ukazują podważanie ładu społecznego.

Drogie rodziny, stawiając czoło wielkim wyzwaniom, nie traćcie odwagi i pamiętajcie, że nie jesteście same: Chrystus wierzy w was; Kościół idzie z wami; ludzie dobrej woli patrzą na was z ufnością!

Anna Zalewska

ETOS KSIĘGARZA. HISTORIA RODZINY ARCTÓW

Czytanie, obcowanie z książką jest dla nas czymś oczywistym. Świadczą o tym liczby – jak podaje Izba Książki, w Polsce funkcjonuje ponad 330 wydawnictw, 1743 księgarnie i 7782 biblioteki publiczne. Założenie wydawnictwa czy księgarni w kraju, gdzie 100 procent obywateli potrafi czytać, nie jest wielkim wyczynem. Ale założyć księgarnię i wydawnictwo, kiedy w kraju analfabeci stanowią 80 procent społeczeństwa, a każda wydawana pozycja jest cenzurowana przez zaborcę – to jest coś!

Historia rodziny Arctów to blisko 100 lat przygody z książką, przygody, która od jednej małej księgarni doprowadziła do powstania prawdziwego koncernu wydawniczego.

Początek ma miejsce w Lublinie. Tu, na Krakowskim Przedmieściu, głównej ulicy miasta, działa od 1836 r. księgarnia i wypożyczalnia książek energicznego i przedsiębiorczego Stanisława Arcta. Oferuje literaturę polską, ale też francuską, angielską i niemiecką, obrazy, nuty, książki dla młodego czytelnika. Od 1862 r. dołącza do niego bratanek – Michał, który ukończył w Dreźnie studia księgarskie, edytorskie i drukarskie. Prężnie działający, podobnie jak stryj Michał Arct w 1880 r., przejmuje księgarnię i przenosi ją do Warszawy, gdzie rozwija rodzinny interes na niespotykaną wówczas skalę: zakłada wydawnictwo i drukarnię, rocznie wydaje po 50 książek; a w ciągu 40 lat działalności osiąga 3 miliony nakładu. Specjalnie dla niego pisze Maria Konopnicka, w jego oficynie drukują m.in. Józef Ignacy Kraszewski i Artur Oppman.

Michał Arct swe działania traktuje jako organiczną pracę dla narodu, dla jego edukacji, podniesienia, ocalenia polskości. Pisze: „Człowiek jest tyle wart, co jego dzieło. To, co się zrobiło dla czytelnictwa, dla ułatwienia ludziom zdobycia wiedzy, dla dania im godziwej rozrywki lub powiększenia zasobu ich wiadomości, to tylko jest dokonanie!”. Po latach jego działania podsumował prezes Związku Księgarzy Polskich: „Był to ostatni już może typowy przedstawiciel dawnego księgarstwa polskiego, tego księgarstwa, które wśród najcięższych przeciwności torować sobie musiało drogi do pałaców i dworów, do mieszkań miejskich i zagród wiejskich,



a zawód księgarza polskiego uważało za posłannictwo, wkładające nań poważne obowiązki, i traktowało go z całą mocą gorącego, powiedziałbym fanatycznego ukochania i bezgraniczną pieczołowitością.

Michał Arct cały swój długi żywot poświęcił w zupełności obranej przez się od młodu dziedzinie. Rozumiał on doskonale, że ten, co książkę wśród tłumów rozszerza, musi tę książkę ukochać, że tylko wtedy spełnia on godnie swoje posłannictwo, jeśli przez umiłowanie i przemyślenie na wskroś popularyzowanych przez siebie wydawnictw staje się poniekąd współautorem-współtwórcą (...).

Wydawnictwo Arcta specjalizuje się w książkach pedagogicznych i podręcznikach, publikacjach dla dzieci i młodzieży, pozycjach popularyzujących naukę, encyklopediach i słownikach, których był współautorem: m.in. pierwszego w kraju *Słownika staropolskiego*, *Słownika ortograficznego* czy *Słownika wyrazów obcych*. Najważniejszym dokonaniem na tym polu był *Słownik ilustrowany języka polskiego*, obejmujący 75 000 wyrazów! Po zakończeniu I wojny światowej, w niepodległej Polsce odbudowuje się rynek księgarski, a firma przeżywa kolejny skok: współorganizuje hurtownie księgarskie, Towarzystwo Księgarni Kolejowych Ruch i księgarnie polskie na Śląsku, wreszcie Towarzystwo Oświaty Rolniczej. W 1922 r. powstają Zakłady Wydawnicze M. Arct (Spółka Akcyjna).

Pasja przechodzi na niemal wszystkich członków rodziny: żona Michała – Maria Gałęcka-Arctowa była współautorką *Kuchni polskiej* – jednej z najpopularniejszych książek kucharskich okresu międzywojennego. Córka – Maria Arct-Golczewska – była tłumaczką i autorką książek przyrodniczych, kuzyn – Aleksander Arct – kierował działem nut i wydawnictw muzycznych, sam też pisał książki poświęcone muzyce.

Syn Michała – Zygmunt – wprowadza do rodzinnego interesu żonę Marię z domu Buyno, która świetnie

W dziejach książki odnaleźć możemy wiele wydarzeń wzniosłych, ale też nieraz z zalem, a nawet z rozpaczą jesteśmy świadkami tragicznych losów pojedynczych książek i wielkich księgozbiorów – narodowych skarbów i pamiątek – bestialsko maltretowanych i niszczonej. Zdarzają się w dziejach książki także przypadki dziwne, dziwaczne, zaskakujące. Zmieniają się ludzkie upodobania i sposób bycia, zmieniają się kryteria estetyczne; to, co kiedyś było naturalne, powszechne i modne, staje się nudne, napuszone, nawet śmieszne. To wszystko odnajdujemy w książkach, właściwie zaś w ludziach, którzy je tworzą lub czytają. Obok wielkich twórców i prawdziwych miłośników książki zawsze istnieli dziwacy bibliomani i osobliwi grafomani, wdzięczny przedmiot docinków, żartów i anegdot. Trzeba poznać oficjalne dzieje i życie książki, warto jednak rzucić okiem i na ten rozległy margines, gdyż tylko w ten sposób dostrzec będzie można biografię książki w pełni, w jej blaskach i cieniach.

Z. Arct, *Dziwne historie książki*



wpisuje się w klimat książkowych pasjonatów i staje się jedną z najpopularniejszych międzywojennych pisarek dla młodego czytelnika; autorką 67 poczytnych i wielokrotnie wznawianych książek (*Perły księżniczki Mai*, *Słoneczko*, *Figa*, *Kocia mama*). Pisarstwo Marii Buyno-Arctowej to przede wszystkim opowieści o potrzebie dobroci, dzielności i siły charakteru. Jest także tłumaczką i redaktorką czasopism dla dzieci i młodzieży: „Nasz Świat”, „Rozwój”, a przede wszystkim „Moje Pisemko”, wydawane przez 34 lata, w którym zamieszczano wiersze, opowiadania, baśnie i bajki, legendy i wiersze historyczne.

Miłość do książki dziedziczą trzej synowie Zygmunta i Marii – każdy na swój sposób realizuje rodzinną pasję:

Michał pracuje w rodzinnych zakładach wydawniczych i pisze książki dla dzieci, m.in. – *Jak powstaje książka* i *Piękno w książce*. Ginie w Powstaniu Warszawskim.

Zbysław – pionier księgarstwa na Ziemiach Odzyskanych, nauczyciel w technikum drukarskim we Wrocławiu – jest niezwykle kronikarzem dziejów książki i księgarstwa, autorem pozycji *Gawędy o księgarzach*, *Wybitni Polacy w służbie książki* i *Dziwne historie książki*.

Największą sławę jako autor zdobywa jednak trzeci z braci – Bohdan, paradoksalnie ten, który chciał porzucić rodzinną tradycję i został lotnikiem. W czasie

II wojny światowej pilot myśliwca w dywizjonie 303 i 306, po powrocie do Polski – zaczyna pisać: publikuje 43 książki, zarówno o charakterze wspomnieniowym (*Niebo w ogniu*), historycznym (*Wielki dzień dywizjonu 303*, *W pościgu za V-1*), jak i beletrystycznym (*Cena życia*). Łącznie sprzedano ponad 3,3 mln egzemplarzy jego książek.

Zniszczenie majątku wydawnictwa podczas Powstania Warszawskiego, a później brutalne działania wymierzone przez komunistów w prywatne wydawnictwa, położyły kres tej niezwyklej rodzinnej firmie, którą zbudowała przekazywana z pokolenia na pokolenie pasja i towarzysząca jej ofiarna praca.

Literatura wykorzystana:

Michał Arct (1840–1916) – nestor księgarstwa polskiego; <https://www.dladziedzictwa.org/2021/12/31/michal-arct-1840-1916-nestor-ksiegarstwa-polskiego/>; D. Pietrzakiewicz, *Michał Arct i synowie*, <https://www.polskieradio.pl/7/7101/Artykul/2190273,Michal-Arct-i-synowie>; A. Sitarz, *W cieniu Polskiego Wydawnictwa Muzycznego*, https://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/2622/Sitarz_PWM_Cie%C5%84.pdf?sequence=1&isAllowed=y.

Maciej Popko

NASZA RODZINNA HISTORIA Z FARMACJĄ



Maria



Krystyna

Nasza rodzinna historia z farmacją liczy sobie już niemal 100 lat, a od blisko 80. związana jest z położoną we Wrocławiu-Leśnicy apteką „Pod św. Antonim”.

Moi pradiadkowie ze strony mamy przyjechali do Wrocławia z Lubelszczyzny w październiku 1945 r., wkrótce po zakończeniu II wojny światowej. Mój pradziadek, dr Julian Winkler, był cenionym lekarzem, absolwentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego w 1926 r. – pierwszego rocznika na pierwszej po odzyskaniu niepodległości polskiej uczelni medycznej. Przed wojną pracował w Kraśniku, po wojnie zaś organizował wrocławską służbę zdrowia, m.in. pełniąc przez ponad 20 lat funkcję ordynatora Oddziału Gruźlicy Płuc w Szpitalu im. Kazimierza Dłuskiego (dawniej Sióstr Elżbietanek), dzisiejszego Dolnośląskiego Centrum Gruźlicy i Chorób Płuc. Jego żona, a moja prababcia, Maria z domu Luzińska, ukończyła w 1926 r. studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie jako jedna z nielicznych wówczas kobiet. Przed wojną pracowała w aptekach w Kocku, Bełżycach i Piaskach koło Lublina. W latach 1933–1934 miała własną aptekę w Lublinie przy ul. Bychawskiej (dziś ulica Władysława Kunickiego).

W momencie przybycia pradiadków do Wrocławia, zaledwie trzy miesiące po kapitulacji, miasto leżało w gruzach. W wyniku działań wojennych zostało zniszczonych ponad 60% budynków, ponadto wojska

radzieckie wciąż podpalały domy, kościoły i budynki publiczne. Po przyjeździe do Wrocławia moja prababcia zamierzała objąć tu jedną z poniemieckich aptek. Niestety, w centrum wszystkie apteki zostały już obsadzone, więc zdecydowała się na aptekę położoną na osiedlu Leśnica (dawniej Deutsch Lissa) na obrzeżach miasta, około 12 kilometrów na zachód od centrum. Apteka ta znajdowała się przy głównej ulicy wylotowej z Wrocławia w kierunku Środy Śląskiej, w kamienicy, która przed wojną należała do ówczesnych właścicieli apteki.

Obejmowany przez prababcię lokal apteczny był całkowicie zdewastowany i rozkradzony przez wojska radzieckie stacjonujące w Legnicy. Jak odnotowano w protokole oględzin lokalu przez Okręgowy Urząd Likwidacyjny z 18 czerwca 1947 r., „(...) w lokalu tym nie ma zupełnie: szaf aptecznych, stołów, naczyń aptecznych, jak również żadnego urządzenia aptecznego, (...) brak jest również drzwi i ram okiennych, (...) instalacja elektryczna jest w całym budynku częściowo zniszczona, instalacja gazowa również zniszczona, instalacja wodociągowa zniszczona – nieczynna”.

Doprowadzenie lokalu do stanu użyteczności, zapewnienie niezbędnych urządzeń, umeblowania, naczyń aptecznych, wag, a przede wszystkim zaopatrzenie apteki w leki w nielicznych wówczas hurtowniach farmaceutycznych było dla mojej prababci dużym wyzwaniem. Jako kobieta ambitna i konsekwentna dopięła jednak swego – 15 kwietnia 1948 r. apteka w Leśnicy została otwarta i rozpoczęła swoją działalność jako apteka „Pod św. Antonim”. Prababcia darzyła świętego z Padwy szczególnym sentymentem, dlatego uczyniła go patronem swojej placówki. Niestety, po niespełna trzech latach, na mocy ustawy z dnia 8 stycznia 1951 r. o przejęciu aptek na własność państwa, apteka została upaństwowiona, a moja prababcia odsunięta od kierowania nią. Rekwirowano wówczas na rzecz państwa cały ruchomy i nieruchomy majątek właścicieli aptek. Prababcia zdołała wynieść z lokalu jedynie figurę św. Antoniego. Nazwę usunięto – od tamtego czasu była apteką społeczną



Apteka dziś

nr 93048. Do Leśnicy prababcia nie wróciła już nigdy. Pracowała potem w aptece społecznej nr 13 we Wrocławiu, a następnie przeszła na stanowisko inspektora farmacji na kolei. Zmarła w 1967 r.

Tymczasem w 1947 r. na studia farmaceutyczne udała się najstarsza córka Marii i Juliana Winklerów – Krystyna, moja babcia. Jak wspominała, o farmacji marzyła od zawsze („Może to miałam w genach”). Babcia w latach 1947–1951 studiowała najpierw na Wydziale Farmaceutycznym połączonych Uniwersytetu Wrocławskiego i Politechniki Wrocławskiej, potem na wyodrębnionej w 1950 r. Akademii Medycznej. Absolutorium otrzymała w swoje 24. urodziny – 20 września 1951 r., a dyplom 8 kwietnia 1952 r. W tamtych czasach absolwenci szkół wyższych dostawali administracyjne skierowanie do pracy w określonym miejscu – tak zwany trzyletni nakaz pracy. Moja babcia została skierowana po studiach do pracy w dziale sprzedaży hurtowni farmaceutycznej w Opolu. Tęskniła jednak za rodziną i udało jej się wywalczyć przeniesienie do Centrofarmu do Wrocławia. Po zakończeniu nakazu pracy została zatrudniona w firmie Herbapol. Najbardziej chciała jednak pracować z pacjentami w aptece i w 1956 r. trafiła do apteki kolejowej przy ul. Łokietka we Wrocławiu, gdzie spędziła blisko 45 lat, aż do przejścia na emeryturę w 1990 roku. Starsza córka Krystyny, Maria – moja mama – również wybrała farmację. Decyzję o podjęciu studiów na tym kierunku podjęła zainspirowana... gościnną pogadanką własnej

mamy w liceum na temat zawodu farmaceuty. Moja mama ukończyła studia na Akademii Medycznej we Wrocławiu w 1988 r., a następnie rozpoczęła pracę w aptece kolejowej przy ul. Dworcowej.

Zmiana ustroju w Polsce w 1989 r. stworzyła szansę na odzyskanie przez naszą rodzinę apteki w Leśnicy. Wobec nieuchwalenia przez Sejm ustawy reprivatyzacyjnej i nieuregulowania (co ciekawe, do dzisiaj) kwestii zwrotu zagrabionego mienia dawnych właścicieli aptek jedynym rozwiązaniem było wykupienie apteki, na co babcia wraz z mamą zdecydowały się w 1993 r. Nie wiadomo było jednak, kto miałby nią kierować – babcia była już na emeryturze, mama natomiast była jeszcze za młoda, nie miała wymaganego prawem minimalnego stażu pracy. Po wielu staraniach i uzyskanej zgodzie ówczesnej inspektor farmacji kierownictwo w aptece w wieku 63 lat objęła babcia. W lutym 1993 r., po 42 latach od upaństwowienia, apteka „Pod św. Antonim” wznowiła działalność jako nasza apteka rodzinna. Po kilku latach funkcję kierownika przejęła moja mama i pełni ją do dzisiaj.

Apteka „Pod św. Antonim” znajduje się w rękach naszej rodziny nieprzerwanie od niemal 30 lat. Od 2021 r. jest ona również punktem szczepień przeciwko Covid-19 i grypie. Nad apteką czuwa jej patron, św. Antoni z Padwy, którego figura – ta sama, która znajdowała się w lokalu za czasów mojej prababci – wystawiona jest na witrynie. Od kilku lat we wspomnienie św. Antoniego, 13 czerwca, w pobliskim kościele odprawiana jest msza św. dziękczynna za dotychczasowe lata działalności apteki z prośbą o Boże błogosławieństwo na kolejne pomyślne lata i potrzebne łaski dla pacjentów, pracowników i właścicieli. W naszej rodzinie natomiast tradycja farmaceutyczna przechodzi już na kolejne pokolenie. Córka Marii, moja siostra Agnieszka, jest obecnie na III roku studiów na kierunku farmacja na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu.

Literatura wykorzystana:

M. Solecki, *Doktor Julian Winkler*; E. Krupa, *Historia wywłaszczenia polskich aptekarzy*; P. Dudek, *Koncepcje odbudowy powojennego Wrocławia 1945- 1956 – między miastem prowincjonalnym a drugą metropolią kraju*.



Patrycja Przybysławska

MUZYCZNA PASJA – Z POKOLENIA NA POKOLENIE

Zaczął się od dziadka Stanisława, a właściwie dużo wcześniej

Źródeł muzycznej pasji rodziny Wiśniewskich z Głinojeczka doszukać można się w życiu i działalności zmarłego już nestora rodu – Stanisława Wiśniewskiego, urodzonego w 1925 r. Już w młodości – naznaczonej wojną, obozem pracy i więzieniem w czasach PRL – związał swoje życie z muzyką. Przyuczał się do zawodu organisty, która to służba miała już pewną historię w jego rodzinie. Jego dwóch starszych braci było przez ponad czterdzieści lat organistami: jeden w Sońsku, a drugi w parafiach warszawskich. Ten drugi, Henryk, współtworzył razem z Tadeuszem Sygietyńskim Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca Mazowsze i przez wiele lat był kierownikiem administracyjnym tej grupy.

Zatem Stanisław poszedł w ślady starszych braci. Jednak jego działalność nie ograniczała się do pracy organisty, którą podjął w 1955 r. w głinojeckiej parafii. Szybko zaangażował się w pracę społeczną i pod jego kierownictwem zaczęły funkcjonować trzy zespoły: wokalny kwartet męski, chór żeński i zespół wokально-instrumentalny Echo. Zwłaszcza ten ostatni cieszył się lokalnie dużą popularnością. Poza tym Stanisław pracował jako instruktor muzyczny w Państwowym Ognisku Muzycznym, gdzie uczył grać na akordeonie, skrzypcach i instrumentach dętych, oraz był nauczycielem wychowania muzycznego w głinojeckiej szkole podstawowej, gdzie dodatkowo prowadził pozalekcyjne zajęcia: chór szkolny i zespoły mandolinistów i akordeonistów. Natomiast w 1975 r. został także kapelmistrzem orkiestry dętej działającej przy cukrowni Izabelin. Jakiś czas później był już kapelmi-



strzem trzech lokalnych orkiestr dętych: w Glinojeku, Strzegowie i Raciążu. Te zespoły zrzeszały bardzo wielu muzyków amatorów, często koncertowały i brały czynny udział w życiu lokalnych społeczności. Stanisław prowadził je przez ponad 25 lat. Natomiast organistą w glinojeckiej parafii był aż do swojego przejścia na emeryturę w 2007 r.

Czym skorupka za młodu

Troje dzieci pana Stanisława wyrosło w domu, w którym muzyka była od zawsze. Najmłodszy z nich – Artur chyba najbardziej poszedł w ślady ojca: jako organista, nauczyciel muzyki, dyrygent i lokalny działacz w sprawach kultury (był m.in. dyrektorem glinojeckiego domu kultury). Razem z żoną Aldoną edukowali muzycznie pokolenia glinojeckiej młodzieży – prowadzili zespoły, chóry szkolne, kościelne i akademickie (w Ciechanowie) – trudno wymienić wszystkie pola ich działalności (która przecież nadal trwa). Jednak jednym z największych sukcesów stało się zaszczepienie muzycznej pasji pięciorgu ich dzieciom, z którymi w 2010 r. stworzyli zespół Moja Rodzina.

Pasja i wychowanie

Wszystkie dzieci państwa Wiśniewskich otrzymały wykształcenie muzyczne. Jednakże muzyka nie była tylko doskonaleniem warsztatu i zdobywaniem kolejnych umiejętności, a – jak podkreśla pani Aldona – stała się raczej środkiem do budowania więzi rodzinnych, wychowania i kształcenia charakterów. „To pasja, która towarzyszyła nam od zawsze, łączyła i stała się częścią naszego życia. Nikt z nas nie potrafi żyć bez muzyki. Edukowaliśmy się wzajemnie, wzbogacaliśmy swoją wiedzę o różnych gatunkach muzycznych,

jeździliśmy na koncerty (tu swoje miejsce znajdowały między innymi wypady ojca z synami), słuchaliśmy muzyki filmowej w drodze do szkoły muzycznej.”

„Moi rodzice nauczyli mnie czegoś bardzo ważnego – poświęcenia dziecku czasu na rozwijanie wspólnej pasji – mówi Gabriel, najstarszy z synów państwa Wiśniewskich, mąż i ojciec Stasia i Basi. – W naszym domu było dużo słuchania muzyki, wspólnego śpiewania i grania na instrumentach. Nie tylko w święta Bożego Narodzenia. Poza tym muzyka, z którą mieliśmy kontakt, była zawsze na poziomie, to byli najlepsi przedstawiciele muzycznych gatunków. Te czynniki były kluczowe w oddziaływaniu na nas i zaszczepianiu pewnej harmonii, smaku i umuzykalnienia jako takiego. Podobnie chcę postępować dzisiaj z moimi dziećmi”.

Najstarsze dziecko państwa Wiśniewskich, Antonina – także mama: Janka i Eli, oprócz komponowania utworów i występowania w rodzinnym zespole, zawodowo zajęła się umuzykalnianiem dzieci. I oczywiście w jej rodzinie także muzyka stała się środowiskiem wychowania i przekazywania pasji.

„Dzisiaj moje dzieci śpiewają w scholi – mówi Antonina – starszy syn uczęszcza na lekcje fortepianu. Mam też to szczęście, że mogę ich czasem zabrać do pracy, gdzie obcują z muzyką na żywo. Często zapraszają mnie i męża na domowy koncert, który organizują w swoim pokoju i widzę, jaką sprawia im to radość. Muzyka towarzyszy nam wszędzie: w domu, u dziadków, w samochodzie, na koncertach”.

Muzyczne wychowanie, które promieniuje

Muzyka była trochę jak powietrze, którym oddychało się w domu państwa Wiśniewskich. Mogli to odczuć wszyscy, którzy w tym mieszkaniu na glinojeckim osiedlu się pojawiali. A nie było ich mało. Przez lata trwały tam muzyczne próby zespołów, chórów i scholi tworzonych na różne okazje. Trenowane partie wokalne polifonicznych utworów, strojenie instrumentów i wesołe rozmowy młodych adeptów muzyki dobiegały często z tego domu. Bo też młodzież do współpracy garnęła się sama – zachęcona dobrym słowem, towarzystwem, przykładem i miłością do muzyki, która promieniowała zawsze z małżeństwa Aldony i Artura. Przez muzykę wychowywali nie tylko swoje dzieci, ale też dziesiątki młodych ludzi, w któ-

SPOTKAJMY SIĘ

rych rozbudzili i pielęgowali muzyczną pasję. Robią to nadal.

„Dzieci od najmłodszych lat były świadkami naszej działalności muzycznej i kulturalnej – podkreśla pani Aldona – dom kultury, w którym pracowaliśmy z mężem, tętnił życiem, a na czwarte piętro bloku, w którym mieszkaliśmy, przychodziła młodzież na próby chóru. Potem nasze dzieciaki same wstępowały w jego szeregi. Pierwszych lekcji muzyki i gry na instrumentach udzielał im tata, ja z nimi śpiewałam. Daliśmy im wędkę: robiliśmy rozeznanie w ich potrzebach, marzeniach, staraliśmy się zawsze wspierać, chwalić i dodawać skrzydeł. Cieszyliśmy się razem z nimi z każdego sukcesu i uczyliśmy radzić z porażką czy stresem. Tak budowaliśmy z dziećmi wzajemną przyjaźń, przestrzeń, w której razem tworzyliśmy, komponowaliśmy, robiliśmy aranże”.

Rodzinny zespół

Jak podkreśla Gabriel, muzyka jest dziedziną, która rozwija wiele sfer człowieka – dlatego warto, by była obecna w każdym domu. „Muzykowanie w domu nie musi prowadzić do założenia zespołu, to rzadki skutek uboczny” – taki jednak zdarzył się rodzinie państwa Wiśniewskich.

Zespół Moja Rodzina tworzą rodzice – Aldona i Artur Wiśniewscy oraz ich dorosłe dzieci: córka Antonina, oraz synowie: Gabriel, Szymon, Mikołaj i Jeremiasz. Od 12 lat koncertują, przekazując pozytywny wizerunek o rodzinie. Autorskie utwory są pełne entuzjazmu dla życia, mówią o budowaniu więzi rodzinnych i domu na Skale, którą jest Chrystus. Ponad 500 koncertów zagrali nie tylko w Polsce, ale również poza jej granicami, między innymi w USA, Irlandii czy Ukrainie. Biorą udział w przedsięwzięciach i projektach prorodzinnych i *pro life*. Wydali kilka płyt: *Twa Obecność, Pomiędzy, Kołedy i pastorałki*.

Niełatwa droga rozwoju

Brzmi wspaniale, jednak to nie tak, że to droga bez przeszkód. „Przygoda z zespołem to tak naprawdę poligon człowieczeństwa – mówi pani Aldona – uczyliśmy się dialogu, kompromisów, a jednocześnie odpowiedzialności i wspólnej pracy. Jako rodzice cieszymy się, że nasze dzieci, również dzięki pracy w zespole, zostały właściwie wyposażone, by ruszyć w świat, umieć się w nim odnaleźć”.

Wspólne działanie ujęte w ramy zespołu muzycznego stało się zatem drogą wychowania i samowychowania jego członków oraz przestrzenią ekspresji muzycznych talentów.

„Dwanaście lat temu – wspomina Antonina – kiedy zaczęła się nasza przygoda z zespołem, byłam pełna zachwytu i gotowości do działania, ponieważ był to czas, kiedy mocno spełniałam się w tej przestrzeni. Moja twórczość ujrziała światło dzienne, widziałam radość innych, jaką niesie moja muzyka. Naszej rodzinie zespół dał wspólny czas, kiedy oprócz tego, że razem graliśmy, dużo rozmawialiśmy, docieraliśmy się – oczywiście bez kłótni się nie obyło. Dzięki temu dziś, mimo różnego spojrzenia na niektóre tematy, potrafimy razem przebywać, cieszyć się ze swej obecności”.

„Zdobyliśmy ogromne doświadczenie muzyczne i spędziliśmy ze sobą niejako pod przymusem dużo czasu – mówi Gabriel – ale dzisiaj bardzo to doceniamy. Graliśmy często w trudnych warunkach, podróże bywały długie i uciążliwe. Dzisiaj jednak miło to wspominamy. Na pewno ten czas przyczynił się też do wzmocnienia naszej relacji, jesteśmy paczką najlepszych przyjaciół”.

Fundamenty

Dziś zespół Moja Rodzina koncertuje raczej okazjonalnie, często w niepełnym składzie – jego młodzi członkowie dorośli, wyruszają w różne części Polski, zakładają własne rodziny, w których rodzą się kolejne dzieci – priorytety się zatem zmieniają. Nie zmienia się jednak zamiłowanie do muzyki, która była jednym z kluczowych elementów ich wychowania.

„Miłość do muzyki stała się drogą naszych serc – mówi pani Aldona – tematyka naszej twórczości była owocem wspólnej modlitwy, wiary i przekonania, że Bóg jest miłością doskonałą, a także fundamentem wszystkiego, co dobre, stałe, mocne i piękne”. Na tym stałym fundamencie działał i działa zespół Moja Rodzina. To właśnie ten fundament był kanwą wychowania tworzących go ludzi i przekazywania w rodzinie muzycznej pasji.

Historię życia pana Stanisława Wiśniewskiego podaję na podstawie publikacji jego syna Pawła Wiśniewskiego: P.J. Wiśniewski, *Parafia Glinojek w kronikach, zapiskach i sercach ludzi*, tom I, Glinojek 2017.



Monika Moryń

WIĘCEJ DO PRZEŻYCIA

Michel de Montaigne zanotował: „Nie szukam w książkach nic, jak (...) jeno wiedzy, która traktuje o znajomości samego siebie i która by mnie nauczyła dobrze żyć”. Trudno się z nim nie zgodzić. To właśnie książki wiele razy stają się przyczynkiem do naszego rozwoju i są inspiracją do działania. Warto przypomnieć sobie te lektury naszego dzieciństwa, które wywarły na nas największy wpływ i o których śmiało możemy powiedzieć, że nas ukształtowały. Czy dzieci z Bullerbyn nie zaszczepiły w nas potrzeby bycia blisko natury i doświadczania świata? Czy nie zakorzeniły głęboko w naszych duszach mitu idyllicznego dzieciństwa, do którego realizacji podświadomie wszyscy dążymy? Czy Jonatan – jeden z braci Lwie Serce – nie dodawał nam odwagi, kiedy stawaliśmy jako dzieci w obliczu wyzwań? Albo czy nie myśleliśmy – ba! może nawet zrealizowaliśmy tę myśl – aby stać się nauczycielką, poetką jak Ania z Zielonego Wzgórza czy podróżnikiem jak Tomek Wilmowski?

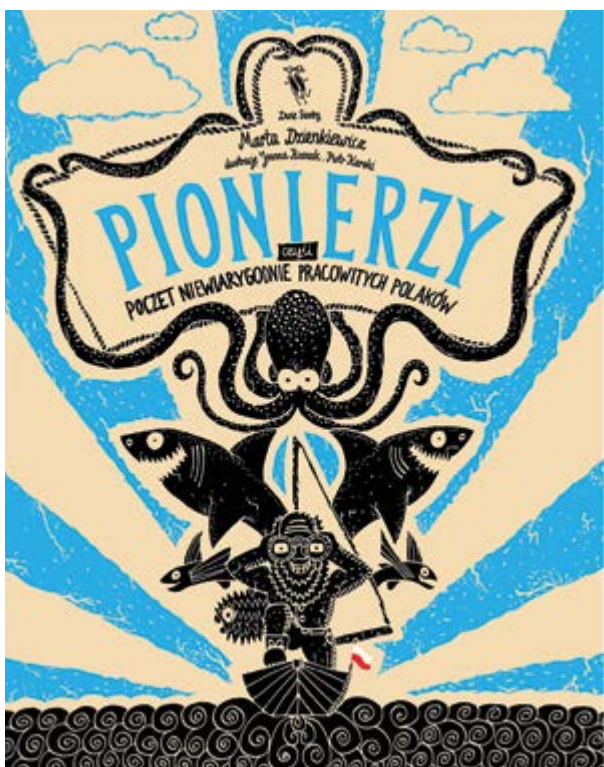
Książki nie straciły nic ze swojej mocy. Także dziś na półkach księgarskich możemy znaleźć wiele pozycji, które odpowiadają na potrzeby naszych dzieci – rozwiną w nich pasje i wspomogą w realizowaniu marzeń. Nie ukrywam, że – wczytując się w literaturę dla najmłodszych – wiele razy po prostu zazdroścę dzieciom. Często po lekturze pozostaję z myślą: to takie proste! Dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł, dlaczego nikt tak nie pisał, gdy ja byłam mała. Ot, taki choćby *Podręcznik dla poszukiwaczy przygód i piratów* Andrei Schwendemann. Autorka wciąga młodego czytelnika w lekturę, mówiąc do niego bez ogródek: „Witaj na pokładzie pirackiego statku (...). Zaczynj pucować pokład. I żeby mi się tu później nikt nie poślizgnął – bo wylecisz za burtę!”. Odbiorca natychmiast musi się odnaleźć w roli bohatera przygody pirackiej na statku „Beautiful Bird”, pod wodzą kapitana Ernesta Jednookiego. Tytuł podpowiada, że to podręcznik

SPOTKAJMY SIĘ PRZY KSIĄŻCE

– rzeczywiście znajdziemy tu 26 lekcji, które przyuczają nas do zawodu pirata i pomogą awansować od majtka do kapitana. Książka zasypuje wiedzą z nawigacji, szyfrowania, gastronomii, geologii, astronomii, fauny i flory, pogody oraz – oczywiście – *survivalu*. Dla młodego człowieka mogą się okazać wyjątkowo praktyczne i inspirujące rady, jak zrobić atrament sympatyczny z moczu (sic!), jak odsolić wodę lub samodzielnie zrobić kompas! I co najciekawsze – książka postawi przed adeptem piractwa zadania do zrealizowania (zabawy i eksperymenty). Któż by się oparł?

Takich poradników – wręcz ciśnie się na usta: przygodników! – jest na rynku księgarskim o wiele więcej. Bezcenna jest *Wielka księga prawdziwych tropicieli* Adama Wajraka, który poprowadzi czytelników niczym wujek-leśniczy po rozlewiskach Biebrzy, przez Puszcze Białowieską, a nawet pośród miejskiej dżungli. Podpowie, jak się zamaskować, by nie spłoszyć zwierzyny, jak tropić świstaki, podglądać stada żubrów czy rozpoznawać gatunki węży. Albo inne lektury... dziecko może poradzić się książki, jak zostać pisarzem (*Jak zostać pisarzem?*, Simon Cheshire), nauczyć się gry na pianinie (*Jak Zosia została pianistką. Nauka gry na fortepianie*, Maria Strzykowska), a nawet może spróbować zostać światowej sławy piłkarzem (*Być najlepszym. Jak zostać się gwiazdą*, Tomasz Gawędzki).

À propos sławnych postaci... obrodziło w biografie skrojone na dziecięcą miarę. Jeśli chcemy zapoznać się na przykład z naukowcami, warto zajrzeć do książki



Marty Dzienkiewicz *Pionierzy, czyli poczet niewiarygodnie pracowitych Polaków*. Autorka opowiada nam o chemikach, antropologach, wynalazcach, jak gdyby znała ich osobiście. Jej portrety – Skłodowskiej-Curie, Mariana Rejewskiego, Ignacego Domeyki i wielu innych – są niebywale familiarne. Przedstawiają ich nie tylko jako wybitnych naukowców i podróżników, ale także jako ludzi nieco szalonych, bezkompromisowych czy wręcz noszących w sobie coś z dziecka. Możemy przeczytać, kto składał ubrania starannie, a kto żył w twórczym (!) bałaganie. Te niby nieważne szczególiki nakreślają obraz pioniera. Dzienkiewicz często podkreśla wysokie morale bohaterów: „Gdy zwrócono mu uwagę, że pomaga zbyt wielu ludziom, odpowiedział: Lepiej dać dziewięćdziesięciu dziewięciu niewyciągającym ręki niż pominąć jednego potrzebującego. Nazywano go «ojcem Ignacym»” (o Ignacym Łukasiewiczu). O wielkich polskich podróżnikach czytamy także w książce Andrzeja Fedorowicza *Podróżnicy. Wielkie wyprawy Polaków*. W zbiorze znajdziemy opowieści o postaciach już rodem ze średniowiecza (to historia o mnichu Benedyckie Polaku), ale także o Maurycim Beniowskim, Tonym Haliku, Jerzym Kukuczce czy Aleksandrze Dobie.

Małgorzata Strękowska-Zaremba z kolei przybliży nam postać, której wybitna odwaga rodzi prawdziwy szacunek i podziw. W książce *Rotmistrz Witold Pilecki. Polscy superbohaterowie* narrator ukazuje zuchów, którzy

Jak tata pokazał mi wszech- świat



strasznie ziewają, kiedy harcerze opowiadają im o losach Pileckiego. To współczesny punkt wyjścia, który pozwala nam zanurzyć się w trudną przeciw historię. Ambitni młodzi postanawiają powtórzyć wykład, tym razem jednak użyć wszelkich sposobów, żeby maluchy – Róża i Stefek – zainteresowały się żywo postacią rotmistrza. Doskonale im się to udaje. Także czytelnik poznaje Witka (potem Witolda) jako postać niezłomną. Autorka zwraca uwagę czytelnika na patriotyczne wychowanie oraz atmosferę domu rodzinnego, które przyczyniły się do ukształtowania tego człowieka. Co bardzo ciekawe, Strękowska-Zaremba podkreśla też, że postać rotmistrza może być nam wciąż nie tylko niezwykle bliska, ale i inspirująca. Różyczkę Pilecki natchnął do tego, aby posprzątać klatki królików oraz gołębi i tym samym łagodzić międzysąsiedzkie relacje. Witold Pilecki powtarzał bowiem, „jak coś robisz, rób dobrze”. Bohater przede wszystkim jednak dobrze żył i chyba to najbardziej warto pokazać dzieciom!

O ogromnym znaczeniu rodziców, którzy wspierają swoje dzieci i tym samym przyczyniają się do ich sukcesu, pisze Dariusz Tuzimek w książce *Lewandowski. Wygrane marzenia*. Mój młody piłkarz ma tę (ale też i inne) pozycję książkową o swoim idolu przy łóżku już od kilku lat. Książka przedstawia drogę piłkarską Lewego przetykaną fotografiami. Tuzimek, który jest dziennikarzem sportowym, komentuje każdą porażkę i sukces. Zwraca się bezpośrednio do swojego czytelnika: „Dlatego nie przejmujcie się, jeśli – mimo ciężkich treningów – nie gracie tak dobrze, jak sobie to wymarzyliście. Trzeba nadal trenować, należy być

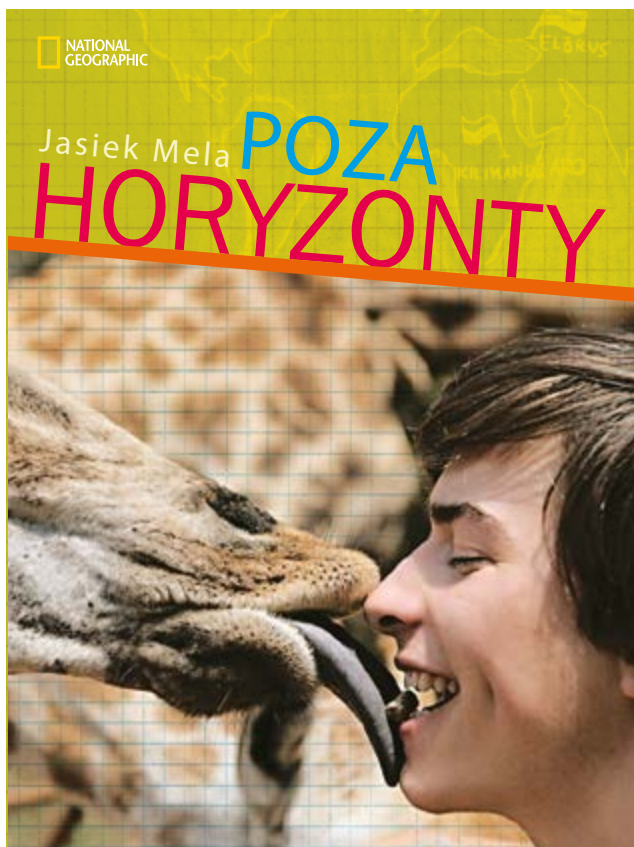
wytrwałym, konsekwentnym i liczyć na to, że kiedyś nadejdzie ten dzień. A porażki i niepowodzenia warto traktować jako szkołę charakteru, jako coś, co jest pewną próbą, sprawdzianem, czy jesteś wystarczająco twardy i mocny, czy się nie załamiesz. Właśnie tak do swoich niepowodzeń podchodzi Robert Lewandowski, bo on też – tak! tak! – nie zawsze wygrywa”. Autor zdaje sobie sprawę z mocy autorytetu, który może zmobilizować do najcięższych ćwiczeń i zachęcić, by walczyć o swoje marzenia. Wróćmy jednak do tematu znaczenia rodziny! Imponuje szacunek, jaki Lewy okazuje rodzicom. Podkreśla, że bez ich wkładu – poświęconego czasu, wyjeżdżonych kilometrów (rodzice Roberta kilka razy w tygodniu wozili go z mazowieckiego Leszna do Warszawy na treningi w Varsovii) – nie byłoby dzisiejszego sukcesu kapitana naszej reprezentacji.

Jedną z książek, które zrobiły na mnie największe wrażenie i stały się drogowskazem także dla mnie jako rodzica, była czuła opowieść Ulfa Starka *Jak tata pokazał mi wszechświat*. Główny bohater, mały Ulf, wyrusza z tatą na wyprawę... taką męską, kiedy to starszy tłumaczy młodszemu, jak zbudowany jest świat. Wycieczka jednak jakoś nie idzie po myśli taty. To, co śmieszy małego, powoduje, że duży zaczyna się wściekać. I znów, gdy tata wpada w zachwyty, chłopiec nie widzi niczego specjalnego. Sfrustrowany ojciec mówi w końcu:

„– A ja chciałem pokazać ci coś pięknego. Coś, co zapamiętasz na całe życie – powiedział i chwycił mnie za rękę. – I zapamiętam – odpartem”.

Okazuje się, że dziecko może i nie zapamięta nazw poszczególnych gwiazdozbiorów, może i nie zachwycać się Wielką Niedźwiedzicą. Z całą pewnością jednak zapamięta to, co najważniejsze – ojca zachwyconego rozgwieżdżonym niebem, jego ciepłą dłoń... miłość po prostu!

Chciałabym – na podsumowanie – zwrócić uwagę na wyjątkowe książki Kobiego Yamady, takie jak *Próbowanie, Co robisz z szansą?* czy *Może*. To opowieści o marzycielach, którym jednak brakuje odwagi, o porażkach i o tym, jak można je pokochać. Książki Yamady są szczególnie cenne, bo pokazują, że nikt z nas nie rodzi się gwiazdą. Ponieważ pozostajemy poddani tyranii sukcesu, prosty przekaz: „Jeśli nic nie robisz, masz mniej do przeżycia, mniej do pokochania i mniej do nauczenia się” – okazuje się odkrywczy nie tylko dla dziecka, ale także dla rodzica.



Agnieszka Iłowska-Rączka

O PRAGNIENIU SZCZĘŚCIA, POKONYWANIU TRUDNOŚCI I O TYM, SKĄD BRAĆ SIĘ, BY SIĘGAĆ POZA HORYZONTY



Naturalną potrzebą każdego człowieka jest pragnienie szczęścia. Wolimy raczej unikać kłopotów, a trudne wydarzenia często nas przerażają, przerastają lub po prostu niszczą. Nie ma jednak magicznej formuły ani zaklęcia, które mogłyby nas odizolować od problemów, więc zmagamy się z nimi, jak umiemy.

24 lipca 2002 roku trzynastoletni Jasiek Mela został porażony prądem z transformatora, przez jego ciało przepłynęło 15 000 voltów. Chłopiec przeżył, ale w wyniku wypadku stracił lewą nogę i prawe przedramię. Nie ulega wątpliwości, że wydarzenie należy przypisać do kategorii ekstremalnie trudnych.

Dziś, po 20 latach od tamtego dnia, chyba można zaryzykować stwierdzenie, że nazwisko Jaśka Meli jest powszechnie znane. Niepełnosprawny podróżnik, który zdobył biegun północny i południowy, podróżował po Lofotach, wspiął się na Kilimandżaro i Elbrus oraz przebiegł Maraton Nowojorski, a jako założyciel i pracownik fundacji Poza Horyzonty pomógł naprawdę wielu...

Książki *Poza horyzonty* Jaśka Meli i *Bóg dał mi kopa w górę*, gdzie z Urszulą Melą, matką Jaśka, rozma-

wia Katarzyna Węglarczyk, z różnej perspektywy przybliżają tamte trudne wydarzenia, ale jedno jest dla nich wspólne: nie żalność, nie smutek ani rozpamiętywanie, ale energia, poczucie bezpieczeństwa i wdzięczności są właściwie ich głównymi bohaterami.

Jak to możliwe?

Nastolatek, który przeczytał niedawno tę książkę, podsumował ją słowami: „To nie jest książka! Kiedy ją czytałem, czułem się, jakby ktoś opowiadał mi swoje życie!”. Bo rzeczywiście w swojej opowieści Jasiek przeprowadza nas przez wydarzenia, które nastąpiły po wypadku – od nierównej walki o przeżycie, przez miesiące wyczerpującej rehabilitacji, aż do budzących podziw, żeby nie powiedzieć zazdrość, fascynujących podróży po najbardziej wymagających zakątkach ziemi. On nie przekonuje, że można sięgnąć dalej niż horyzont, po prostu sięga tam, a czytelnika czyni zadziwionym i pozbawionym wątpliwości świadkiem.

Skąd brać siłę?

„Życie jest chyba lepsze wtedy, gdy nie jesteśmy jego głównym bohaterem, gdy żyjemy dla innych” – podsumowuje swoją historię bohater i tymi słowami mocno stawia czytelnika do pionu. Historia, w której wziął udział, każe przyznać, że bez innych, bez rodziny i życzliwych ludzi wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. I choć teoretycznie każdy się z tym zgodzi, w końcu przychodzi nam zadać sobie pytanie o swoją gotowość nie tyle do otrzymywania pomocy, co do jej dawania, jak mówi młody, a doświadczony autor – gotowość do „życia dla innych”.

Zdecydowanym walorem tej książki jest również to, że wprowadzając w świat niepełnosprawnych fizycznie, przełamuje ona bariery pomiędzy dwiema przestrzeniami. Nie tylko pozwala lepiej poznać i zrozumieć innych ludzi, ale zmusza do postawienia sobie pytania, co to właściwie znaczy być niepełnosprawnym i czy rzeczywiście można brak sprawności fizycznej utożsamiać jedynie z ograniczeniami, niemożliwościami i skupieniem na sobie.

A co, jeśli trudności biorą górę?

Byłoby nieporozumieniem traktować książkę *Bóg dał mi kopa w górę* jedynie jako komentarz do opisaną

wyżej historii. Choć rozmowa z matką Jaśka Meli, Urszulą Melą, rzeczywiście dopełnia całość, jest ona jednocześnie pewną prezentacją głęboko osadzonego systemu wartości. I co najciekawsze, systemu, który nie urodził się z przemyśleń, a którego siłą jest doświadczenie. Popularne: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni” staje się w historii rodziny Melów żywym słowem. Okazuje się, że człowiek może nie mieć siły, że to jego prawo, że to jego natura. A jednak, jeśli dobrze odnajdzie źródło, nie tylko przeżyje, ale ponownie pięknie zakwitnie.

Sprawdzam...

Wsluchując się w słowa Urszuli Meli, można mieć nieraz irytujące wrażenie, że ma ona odpowiedź na każde pytanie. Prawdę mówiąc, trudno jej jednak odmówić racji. W tych odpowiedziach słychać nie tylko doświadczonego psychologa i przygotowanego merytorycznie specjalistę. Mówi jako znająca radość i cierpienie matka, żona, a może przede wszystkim osoba, która przeprowadzona najpierw przez pustkę, a potem czas duchowych poszukiwań, znalazła ostatecznie swoje miejsce. W jej odpowiedziach nie ma teorii, bo każda z nich wypływa z konkretnego przeżycia. Czytając, możemy wiele razy odnajdywać się w niektórych wydarzeniach, trudnościach, wątpliwościach. Ale na koniec wszystko układa się w spójną całość, stabilny układ i hierarchię wartości, które porządkują i dają poczucie bezpieczeństwa. I znów może przyjść pytanie: Czy to i mój „układ”? Jaki jest mój punkt odniesienia?

„Problemy nie są po to, żeby je rozwiązywać. Problemy są po to, żeby je przeżyć”

– powtarza za poetką Anną Kamieńską Urszula Mela. Może nie jest to popularne dziś stwierdzenie, może świat biznesu i wielkich firm stawia sprawę, i słusznie, całkiem odwrotnie. Życie jednak zaczyna się w rodzinie, a nie w korporacji. Wspólnie przeżywać, doświadczać, czerpać z siebie nawzajem i dawać sobie nawzajem wydaje się być właściwą istotą wspólnoty rodzinnej. Nie musimy być zdani jedynie na własne możliwości ani opierać się na tym tylko, co sami potrafimy. A historia rodziny Melów jednoznacznie to potwierdza i wyraźnie podpowiada, gdzie szukać siły.



Anna Niemira-Jurek

NIE PRÓBUJCIĘ TEGO W DOMU?

Większość z nas miała kiedyś okazję oglądać niezbyt może mądre, ale przykuwające uwagę, programy pokazujące „niezwykłe” i „nieprawdopodobne” zjawiska, sztuczki czy umiejętności. Taniec z węzłem boa? Zbijanie mebli za pomocą tępych wykałaczek? Jazda na rowerze bez użycia nóg? Proszę bardzo! W chwilach nudy miło czasem zobaczyć, czego też ci ludzie nie wymyślą (nazywa się to ładnie *guilty pleasure*), ale zasadniczo – nie powtarzamy tych aktywności w domowym zaciszu. O tym, że nie warto tego robić, przypominają czasem podpisy poprzedzające co bardziej drastyczne sceny: „Nie próbujcie TEGO w domu”. I takim opisem, jak mi się wydawało, powinna być opatrzona książka Amy Chua – *Bojowa pieśń tygrysicy*.

Książka wzbudziła zresztą swego czasu w USA i w Europie niemałe oburzenie, ponieważ opisuje metody wychowawcze określane jako chińskie, a oparte na daleko posuniętej stanowczości rodzicielskiej i kulcie ciężkiej pracy, pełnej wyrzeczeń zarówno ze strony

dziecka, jak i rodzica. Wiele wątków wprawiało czytelników (w tym mnie!) w osłupienie i budziło święty gniew przeciw srogiej matce zmuszającej córki, by dążyły do perfekcji. Niektóre, słabe jednak, głosy zauważały ironię i autoironię autorki wyostrażającej celowo i czasem karykaturalnie różnice między modelem azjatyckim a amerykańskim.

Bojowa pieśń tygrysicy to historia zmagania samej autorki. Oto uznana profesor prawa wychowuje wraz z mężem dwie córki. Mąż, choć obecny w życiu rodzinnym, jest jednak niemal nieobecny w tej opowieści, która skupia się na opisanu „chińskiej matki” – kobiety, która dla swoich dzieci nie zawaha się przed niczym. W imię ich dobra, oczywiście. Brzmi niegroźnie, a nawet... heroicznie, prawda?

Jeśli by jednak czytać *Bojową pieśń...* w sposób najprostszy – przyjąć za dobrą monetę to, co zostało napisane – okaże się, że jest ona *de facto* historią tyranki domowej: kobiety zmuszającej dwie małe córki do nadludzkiego wysiłku, którego celem jest

perfekcyjna gra na instrumentach i bycie szkolnymi prymuskami. Gra niewarta świeczki i w ogóle podłość – powie rodzic z kręgu cywilizacji zachodniej (także ja w wielu momentach lektury). A gdzie samorozwój, samoakceptacja, samokontrola i inne „samo-”wartości nakierowane na dobre, *nomen omen*, samopoczucie dziecka?

Na szczęście „chińska matka” nie jest poradnikiem wychowawczym, który zachęca do przekładania opisanych metod na własne życie. Jest za to ironiczną opowieścią o różnicach kulturowych – ich wartości, cenie, jaką płaci się za podążanie za wyznawanymi wartościami, ale też o mieliznach, na które można wpłynąć. I na które autorka, jak sama przyznaje, wpływa.

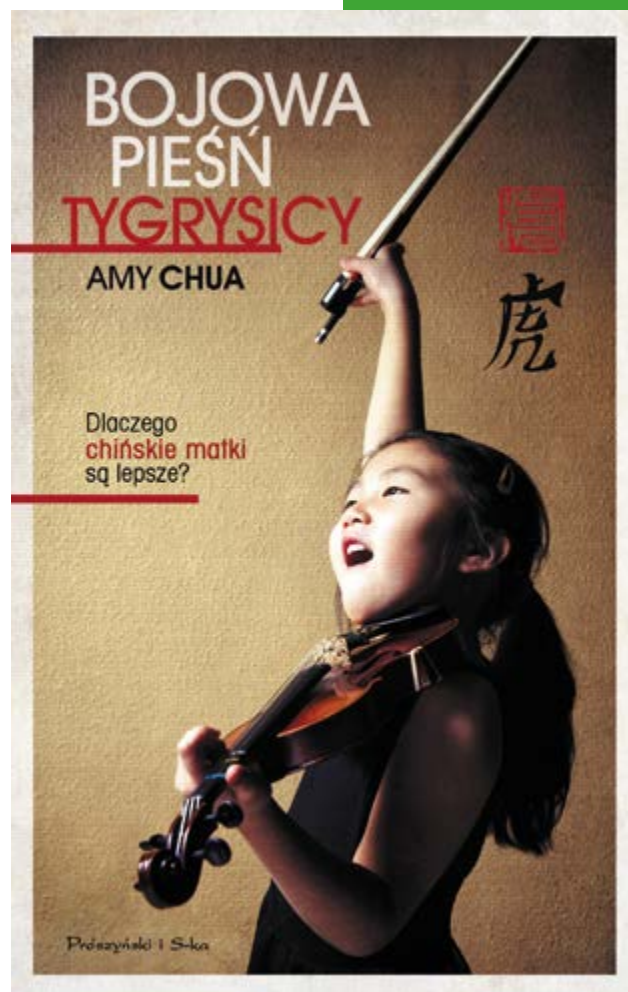
Kluczową myślą książki Amy Chua jest przekonanie, że wyrazem miłości rodzicielskiej jest wymaganie od dzieci, żeby – ogólnie – dawały radę. Świadectwem uznania ich mądrości i zaradności nie jest prawienie komplementów i zapewnianie, że są mądre i zaradne, ale stawianie coraz większych wymagań, oczekiwanie, że podołają, że dadzą radę właśnie.

Metody, które Chua opisuje (wielogodzinne ćwiczenia gry na instrumentach, ostra krytyka skierowana wobec dzieci, niepodważalna stanowczość, czasem karczemne awantury), bywają w odbiorze europejskiego czy amerykańskiego czytelnika nieakceptowalne. Jeśli nie czytać ich w kontekście autoironicznym (którego to odczytania autorka czasem nie ułatwia), wydają się świadectwem koszarnej nieczułości i egoizmu matki, która swoje aspiracje utożsamia z dobrem dzieci. I przyznam, że sama z taką myślą zakończyłam lekturę *Bojowej pieśni tygrysicy*. Odkładałam książkę, czując, że „chiński model” to inna, obca perspektywa. Myślałam – interesujące są różnice kulturowe, różne oczekiwania i tak dalej, ale, broń Boże, NIE RÓBCIE TEGO W DOMU! Nie róbcie tego Waszym dzieciom!

W wartościowych książkach tkwi jednak wielki potencjał, który sprawia, że nawet po odłożeniu ich na półkę kłują jeszcze i domagają się jakiejś reakcji. Pointą recenzji książki Amy Chua będzie zatem nie ostrzeżenie wyświetlane przed programami o „niewiarygodnych” wyczynach, ale moja osobista historia domowa.

Oburzona na autorkę, która torturuje swoje dzieci grą na instrumentach (żeby to chociaż było coś pożytecznego, ale instrumenty, myślałam sobie), stanęłam

wobec mojego ośmioletniego syna, który poinformował mnie, że jednak nie umie czytać, nie da rady z lekturą i w ogóle się do niczego nie nadaje. I że nie mogę oczekiwać od niego, że przeczyta sam te 70 stron, bo innym dzieciom czytają rodzice. Że on może połowę ewentualnie, ale pod warunkiem że ja mu drugą na głos. I że tak naprawdę to czytanie mu nie jest potrzebne. I wtedy właśnie moimi ustami nowojorska profesor prawa powiedziała, że gdybym uważała, że nie da rady, tobym mu przeczytała całość po prostu jednego wieczora. Ale uważam, że da radę i że ma to zrobić. I nie mamy o czym rozmawiać dalej, bo to kończy negocjacje. A on... on wziął książkę, poszedł do innego pokoju i przeczytał ją po prostu. Już bez żadnych jęków. Kto by pomyślał, że zrobiłam TO we własnym domu.





Beata Kozyra

Z FILMAMI NA CO DZIEŃ

Filmy o pasjach

1. **Córka trenera**, reż. Łukasz Grzegorzek, Polska 2018, czas: 93', film fabularny

Silna więź emocjonalna pomiędzy ojcem i siedemnastoletnią córką Wiktorią to efekt wspólnej pasji, która wypełnia im cały czas. Maciej Kornet występuje tu w podwójnej roli: ojca i trenera tenisa ziemnego. Czy zamiłowanie do sportu wzmacnia, czy oddala ich relacje? Film o poświęceniu, dążeniu do celu i wspólnych wyrzeczeniach, nie tylko sportowych.

2. **Cudzoziemka**, reż. Ryszard Ber, Polska 1986, czas: 100', film fabularny

Muzyka nie zawsze łagodzi obyczaje. W filmie *Cudzoziemka*, ekranizacji powieści Marii Kuncewiczowej pod tym samym tytułem, skrzypaczka Róża Żabczyńska próbuje zrealizować swoje niespełnione marzenia, kierując w sposób opresyjny muzycznym życiem córki Marty.

3. **Giganci ze stali**, reż. Shawn Levy, Indie, USA 2011, czas: 127', film familijny

Jedenastoletni Max, podobnie jak jego ojciec, jest fanem walk robotów. Areną tych zmagañ jest ring, na którym walczą nie ludzie, ale przez sterowane przez nich olbrzymie roboty. Ojciec chłopca, Charlie Kenton, jest właścicielem jednej z takich maszyn i wystawia swojego robota do walki. Nieoczekiwanie po dawnym porzuceniu, dzięki wspólnym zainteresowaniom ojca i syna, ich życiowe drogi znów się połączą.

4. **Marusarz. Tatrzański orzeł**, reż. Marek Bukowski, Polska 2020, czas: 54', film fabularny

Obraz przedstawia życie utalentowanych tatrzańskich narciarzy z rodziny Marusarzy – Stanisława i jego siostry Heleny, których młodość przypada na czasy drugiej wojny światowej. Oboje aktywnie uczestniczą w ruchu oporu jako kurierzy tatrzańscy Armii Krajowej. Helena, mistrzyni sportów narciarskich, zginęła w 1941 roku. Jej



Kadr z filmu „Odyseja”

brat Stanisław przeżył wojnę i zasłynął jako prekursor skoków narciarskich w Polsce i trzykrotny olimpijczyk oraz wicemistrz świata z 1938 roku. Rodzeństwo Marusarzy, Stanisław i jego cztery siostry, z zapałem uprawiało narciarstwo i inne aktywności fizyczne.

5. *Masz talent (One Chance)*, reż. David Frankel, USA, Wielka Brytania 2013, czas: 103', film fabularny
Film opowiada nieprawdopodobną (choć opartą na faktach) historię życia Paula Potts'a, który w dzień zajmuje się sprzedażą telefonów, a w nocy spełnia swoje marzenia jako śpiewak operowy. Jego pasja do śpiewu zostaje doceniona – ostatecznie zostaje zwycięzcą rozrywkowego programu *Mam talent*. Film pokazuje, że miłość do muzyki i realizacja swoich marzeń może zmienić życie człowieka.

6. *Mój biegun*, reż. Marcin Głowacki, Polska 2013, czas: 93', rodzinny film fabularny
Historia Janka Meli, zbuntowanego trzynastolatka, który musi zmierzyć się z niepełnosprawnością po nieszczęśliwym wypadku. W wyniku porażenia prądem stracił lewą nogę i prawe przedramię. Janek Mela to chłopiec,

który pokonał swoje słabości. Pomógł mu w tym jego ojciec, który go mobilizował i uczył, jak żyć w nowym ciele. Wspierał podczas rehabilitacji, która nie zawsze była bezbolesna – nie tylko fizycznie, ale również emocjonalnie. Pokazał, wraz z mamą Janka, że wiara w człowieka czyni cuda i nie ogranicza życia. Janek, towarzysząc Markowi Kamińskiemu, zdobył obydwie bieguny, następnie wspinał się na Kilimandżaro i Elbrus oraz przebiegł Maraton Nowojorski. Jednak przede wszystkim zdobył swój biegun, pokonując ograniczenia spowodowane niepełnosprawnością. W osiągnięciu zwycięstwa pomogły mu wiara w Boga i wspólne sportowe pasje rodzinne.

7. *Odyseja (L'Odysée)*, reż. Jérôme Salle, Francja 2016, czas: 121', film fabularny dla dorosłych widzów
Biograficzny film o życiu pioniera i legendzie badań podmorskich Jacques'u Cousteau i jego rodzinie: dwóch synach, Philippe i Jeanie Michaelu, oraz żonie i wieloletniej partnerce biznesowej Simone. Wszyscy bliscy Cousteau zostali zarażeni pasją wybitnego nurka i kontynuują jego działalność przyrodniczą, obserwują i filmują podwodne życie oceanu. Nestor rodu, Jacques, wynalazca akwalungu, aparatu umożliwiającego przebywa-

SPOTKAJMY SIĘ PRZED EKRANEM

nie pletwonurkom pod wodą, kupuje statek „Calypso”, by realizować swoje badania.

8. *Ojciec i syn w podróży*, reż. Marcel Łoziński, Polska 2013, czas: 75', film dokumentalny

Dwaj znani polscy reżyserzy i twórcy filmów dokumentalnych wyruszają spod domu w Warszawie w długą podróż przez Europę. To film drogi, który nigdy się nie kończy. Podróż zewnętrzna i wewnętrzna przedstawia trudne relacje zawodowe i osobiste ojca i syna. Paradoksalnie ta sama droga zawodowa wcale im nie ułatwia życia, co znakomicie jest pokazane w dwóch dokumentach: *Ojciec i syn* oraz *Ojciec i syn w podróży*.

9. *Pavarotti*, reż. Ron Howard, USA, Wielka Brytania 2019, czas: 114', film dokumentalny

Dokument pokazuje zawodowe i osobiste życie śpiewaka operowego wszech czasów. Niewiele osób wie, że ten wybitny włoski tenor był synem prostego piekarza, ale również lokalnego chórzysty kościelnego. Muzyka była ważnym elementem życia artysty. Pavarotti występował na scenach czołowych teatrów operowych świata: Covent Garden Theatre, La Scala czy w Metropolitan Opera.

10. *Wielki Mike (The Blind Side)*, reż. John Lee Hancock, USA 2009, czas: 129', film fabularny

Oparty na faktach scenariusz filmu powstał na podstawie książki *The Blind Side; Evolution of Game* Michaela Lewisa. Chrześcijańska amerykańska rodzina przyjmuje do swojego domu Afroamerykanina z dzielnicy, któ-

ra nie cieszy się dobrą sławą. Przywraca mu godność, pomaga wyjść na życiową prostą, zostać studentem i realizować sportowe marzenia, które są częścią życia przeciętnych Amerykanów. Sandra Bullock za rolę przyzywanej mamy otrzymała wiele nagród, w tym Oscara.

11. *Wszystko dla mojej matki*, reż. Małgorzata Imielska, Polska 2019, czas: 1:43', film fabularny dla młodzieży i dorosłych

Ola, mieszkanka zakładu poprawczego, porzucona w dzieciństwie przez matkę alkoholicką, realizuje jej młodzieńcze pasje zawodowej biegaczki. Nastoletnia bohaterka z tęsknoty za domem rodzinnym i straconym dzieciństwem postanawia zwrócić na siebie uwagę rodzicielki, uprawiając sport. Liczy, że matka, która nie daje znaku życia, usłyszy o córce, gdy ta osiągnie spektakularny sukces. Bieganie ma stać się drogą do serca matki i realizacją tradycji rodzinnej.

12. *Zdolne bestie te Kossaki*, reż. Marta Wegiel, Polska 2020, czas: 50', film dokumentalny

Film opowiada o życiu i twórczości słynnych malarzy batalistów z rodziny Kossaków: Juliusza, Wojciecha i Jerzego oraz słynnych kobietach należących do tego rodu. Wśród nich przedstawione zostały literatki: poetka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Magdalena Samozwaniec i Zofia Kossak-Szczucka. Narratorem filmu jest przedstawicielka piątego pokolenia rodziny, malarka koni Joanna Kossak. Całą rodzinę łączy wspólna pasja do sztuki malarskiej bądź literatury, która kontynuowana jest z pokolenia na pokolenie.



Agnieszka Wojdyna

PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

Piękne miejsca, zachwycające widoki, inne kultury, nowe smaki, ciekawi ludzie... Kto z nas nie marzy o dalekich podróżach? Kto nie podróżował palcem po mapie i nie kręcił z rozmarzeniem globusem? Bo wielkie przygody zaczynają się od małych marzeń. A gdzie lepiej planować i marzyć niż przy wspólnym rodzinnym stole? Zwłaszcza wtedy, gdy dobra planszówka przeniesie nas daleko od domu i pozwoli poznać odległe zakątki świata.

Wyberzemy się dziś w podróż po Europie – zaplanujemy dziesięciodniową wyprawę po europejskich krajach, a we Włoszech i Grecji zatrzymamy się na nieco dłużej.

Europa w 10 dni (wyd. Rebel) to kolejna bardzo ciekawa propozycja współtworzona przez autora znanej i lubianej serii gier *Wsiąść do pociągu*. Tym razem zaplanujemy dziesięciodniową wyprawę po europejskich krajach, a ten, kto zrobi to najszybciej, zostanie zwycięzcą! Zasady są bardzo przystępne, zagrają w nią dziesięciolatki, a może i nieco młodsi gracze. Piękna, kolorowa mapa Europy przedstawiająca podział na państwa i obrazki charakterystycznych dla nich miejsc spełniają nie tylko funkcję estetyczną i informacyjną, ale też edukacyjną. Dzieci bez trudu zapamiętają położenie europejskich krajów czy ich sąsiedztwo. Nauka geografii stanie się łatwa i przyjemna, a przede wszystkim będzie się odbywała niepostrzeżenie podczas dobrej rodzinnej zabawy.

Celem gry jest takie ułożenie dziesięciu następujących po sobie kafelków, by w logiczny sposób odzwierciedlały podróż po Europie. Bezpośrednio z Francji do Hiszpanii, potem samolotem do Finlandii albo statkiem do Irlandii. Kilka prostych zasad dotyczących łączenia ze sobą poszczególnych kafelków i już można cieszyć się z planowania idealnej wycieczki po kontynencie. Gracze na zmianę będą dobierać płytki państw lub transportu i wymieniać z tymi, które mają już ułożone na swoich podstawkach, by zbliżyć się do osiągnięcia celu. Zasady podróży są proste – płytki państw sąsiadujących mogą leżeć bezpośrednio obok



siebie, gdyż trasę można pokonać pieszo. Państwa, które na mapie mają ten sam kolor, można połączyć transportem lotniczym w odpowiednim kolorze, a do tych, które znajdują się przy tym samym morzu bądź oceanie, można się dostać drogą morską. *Europa w 10 dni* idealnie nadaje się na rodzinne rozgrywki. Doza losowości, nieunikniona w tego typu grach, dodaje jej jedynie lekkości i powoduje, że nigdy nie wiadomo, jaką trasę podróży wybierzemy.

Czas wybrać się do Włoch, na malowniczą wyspę Burano położoną na Lagunie Weneckiej, która słynie z kolorowych kamienic ciągnących się wzdłuż wąskich uliczek i kanałów. Znajdziemy się tam dzięki małej karciance *Spacer po Burano* wydawnictwa Nasza Księgarnia. Zadaniem graczy jest właśnie budowa kamienic i takie ich ozdobienie, by przyciągnęły turystów i podobały się mieszkańcom wyspy. Każdy z nich zwraca jednak uwagę na coś innego – kwiaty, zioła, lampy czy inne elementy. Trzeba budować w taki sposób, żeby jak najlepiej spełnić oczekiwania turystów i mieszkańców, co bezpośrednio przełoży się na punk-



ty zwycięstwa. Jednocześnie należy pamiętać o podstawowych zasadach budowania kamienic – wznosić je od dołu, najpierw parter, potem I piętro, na końcu dach, a sąsiadujące budynki nie mogą być tego samego koloru. *Spacer po Burano* to lekka rodzinna gra niepozbawiona jednak przyjemności z kombinowania. Należy wykonywać optymalne ruchy, aby zdobyć jak najwięcej punktów. Piękne, kolorowe ilustracje to jedynie przedsmak ciekawej rozgrywki.

Zmieniamy kraj i udajemy się na grecką wyspę Santorini, również charakterystyczną ze względu na swoje zabudowania. Widok białych budynków z niebieskimi kopułami znamy chyba wszyscy. To właśnie one stanowią główne elementy tej strategicznej gry (*Santorini*, wyd. Spin Master). Na planszy imitującej wyspę gracze będą budowali trójwymiarowe, trzypiętrowe budynki. Ten, któremu jako pierwszemu uda się postawić swojego budowniczego na trzecim piętrze, wygra rozgrywkę. Zadanie wydaje się bardzo proste, ale to jedynie złudzenie. Gra wymaga sprytnego manewrowania taktycznego, żeby uprzedzić przeciwni-

ków mogących zablokować wejście na trzeci poziom poprzez umieszczenie tam kopuły. Zasady są bardzo proste – gracz przesuwa swoją figurkę budowniczego na jedno z sąsiednich pól (na tym samym poziomie, o jeden poziom w górę lub dowolną liczbę poziomów w dół), a następnie buduje odpowiedni element budynku (również na jednym z dziewięciu pól, z którymi sąsiaduje). Szukanie taktyki na przechytrzenie przeciwnika zdecydowanie zachęca do wielu kolejnych rozgrywek, a karty greckich bóstw, których można użyć w zaawansowanej rozgrywce, nie pozwolą szybko jej odłożyć na półkę. Każdemu z graczy dają one dodatkowe moce, czyli pozwalają w jakiś sposób łamać podstawowe zasady gry. Rozgrywka staje się zatem jeszcze bardziej wymagająca.

Oczywiście nic nie zastąpi wspólnych rodzinnych podróży, ale powyższe propozycje na pewno będą bardzo dobrym preludem. Nie można im także odbierać waloru integracyjnego czy edukacyjnego. Bez wątpienia stanowiąc będą świetną rekreacją.



Anna Niemira-Jurek

ŁÓDŹ – DWIE TRASY... NA POCZĄTEK

Położona obok skrzyżowania autostrady A1 z A2 Łódź jest dziś naprawdę blisko nie tylko Warszawy, ale też Poznania, Torunia, Krakowa czy Gdańska. Na zwiedzanie tego dużego miasta o bogatej, choć krótkiej, historii warto jednak poświęcić więcej czasu, niż tylko zaliczyć kilka najciekawszych punktów przy okazji przejazdu na trasie wschód–zachód lub północ–południe.

Zacząć od... początku

Przyjazd do Łodzi w towarzystwie dzieci to bardzo dobra okazja do tego, żeby opowieść zacząć jeszcze przed wyjazdem – od oglądania mapy. Łódź znajduje się niemal w centrum Polski, dlatego nasze rodzinne wizyty na początku rozpoczynaliśmy od pokazywania Łodzi na mapie i zastanawiania się, jakie miejsca znajdują się na wschód, zachód, północ i południe od

niej. Taka zabawa to też dobra okazja do ćwiczenia czytania nazw na mapie i samej mapy. Po tej zabawie czas na opowieść...

Proponuję dwa warianty zwiedzania miasta – filmowy i historyczny. W zależności od tego, co chcemy zobaczyć, zachęcam do wprowadzenia dzieci w temat przed wyjazdem.

Trasa filmowa

Rodzice i dziadkowie pamiętają na pewno wielki napis SE-MA-FOR, który towarzyszył wielu dobranocnikom ich dzieciństwa. Dzieci (i wnuki) mogą go jednak nie znać, dlatego przed wizytą w Łodzi warto pokazać im kilka bajek, które sami pamiętamy. Kot Filemon, Miś Uszatek, pingwin Pik-Pok, wróbel Ćwirek – ła-



twiej będzie cieszyć się na widok tych postaci, jeśli uda się je dzieciom rozpoznać. Przestrzegam jednak przed załamywaniem rąk, jeśli dzieci nie będą rozpoznawać postaci albo bajki nie przypadną im do gustu. Nie muszą. Zwłaszcza nie od razu. Poza tym dzieci nie wyrzekają na nas, jeśli nie podoba nam się *Psi Patrol* (moich dzieci nie interesuje na przykład zupełnie, czy mi się podoba, ale czy mogą oglądać...).

W Łodzi trasę filmową tworzy 10 niewielkich pomników postaci z bajek, a jej dopełnieniem jest Muzeum Kinematografii. Trasie bajkowej towarzyszy także wydana przez miasto książeczka do zbierania pieczętek z każdego miejsca i mapka. Wytrwali mogą odebrać w dwóch punktach PTTK odznaki poświadczające przebycie całej trasy (koszt: 8 zł). Szczególnie warto zwrócić uwagę na rzeźbę Pik-Poka w Parku im. Józefa Piłsudskiego, potocznie zwanym parkiem na Zdrowiu, bo polowanie na pieczętki można połączyć przy okazji z bardzo przyjemnym spacerem (a może wizytą w pobliskim Aquaparku?). Więcej informacji o trasie znajduje się na stronie: <https://lodz.travel/turystyka>.

Dobrym punktem rozpoczynającym tę trasę jest wspomniane wyżej Muzeum Kinematografii – przestrzeń pełna figurek znanych z filmów Se-Ma-Fora, wielkich i mniejszych rekwizytów, kamer i sprzętów filmowych. Ponieważ muzeum gromadzi głównie eksponaty dotyczące historii łódzkiej wytwórni, podczas jej zwiedzania przyda się także wspomnienie starych bajek. Bez nich, bez wspomnień, muzealna przestrzeń będzie tylko katalogiem obrazów, sprzętów i gablot. Nie jest to bowiem nowoczesne muzeum, tworzone dla każdego po trochu, ale miejsce, któremu dopiero sentyment nadaje wartość i popycha zwiedzanie.

Obowiązują zniżki na Kartę Dużej Rodziny.

Trasa historyczna

W tym przypadku wprowadzeniem do trasy zwiedzania jest historia dynamicznego rozwoju miasta związanego z przemysłem oraz jego położeniem (znów mapa!) dość blisko granicy prusko-rosyjskiej.

Dawno, dawno temu była sobie mała wioska, w której prawie nikt nie mieszkał. Stało w niej tylko kilka drewnianych domków, a wokół ciągnęły się pola. Dzieci nie potrzebują historycznej rozprawy na tematy demo-

graficzne, ale ta wioska w ciągu 40 lat najpierw powiększa się ponad dwudziestokrotnie, a potem w ciągu kolejnych 45 – osiąga ponad 600 000 mieszkańców. Historia rozwoju Łodzi dodatkowo wyjaśnia, dlaczego nie znajdziemy tu średniowiecznego zamku ani barokowych kościołów, a zamiast nich setki ceglanych budynków mieszkalnych i przemysłowych. Opowieść o początkach Łodzi pozwoli dzieciom, kiedy będą już na miejscu, lepiej zrozumieć, co i dlaczego widzą. Co zatem mogą zobaczyć?

Zaczynamy od ulicy Piotrkowskiej, pełnej XIX-wiecznych kamienic. Przy okazji spaceru na pewno uwagę przykuje dawna fabryka Franciszka Ramischa, obecnie OFF Piotrkowska – miejsce na nowo zaaranżowane jako postindustrialna przestrzeń designu, modnych knajpek i butików. Wejście do niej to dobry punkt wyjścia do rozmowy o tym, co (i dlaczego) stało się z łódzkimi fabrykami.

Świetnym pomysłem może być też odwiedzenie odrestaurowanego Księżego Młyna oraz fabryki Izraela Poznańskiego (obecnie centrum handlowe Manufaktura oraz hotel Andel's), a także Muzeum Miasta Łodzi, które mieści się w pałacu fabrykanta. Różnica między przebogatym pałacem a ceglаныmi fabrykami i domami robotników przypominającymi koszary także może być początkiem rozmowy na tematy bardziej ogólne.

Na koniec szczególnie polecam zobaczenie choćby z zewnątrz trzech katedr Łodzi: neogotyckiej bazyliki katedralnej pw. Stanisława Kostki (tu warto pokazać wyryte złotymi zgłoskami na ołtarzach bocznych informacje o ich XIX-wiecznych fundatorach), prawosławnego soboru Aleksandra Newskiego (starsi turyści zobaczą m.in. tablice pamiątkowe poświęcone policjantom tłumiącym zamieszki w 1905 roku) i ewangelickiego kościoła pw. św. Mateusza (tu uwagę zwracają monumentalne witraże).

Na jeden dzień wystarczy, a został przecież jeszcze pałac Herbsta z kolekcją polskiej sztuki, zwłaszcza z XIX i pocz. XX wieku, Planetarium w EC1, Experymentarium, duża Palmiarnia Ogrodu Botanicznego, Muzeum Sztuki Współczesnej (choć to zdecydowanie dla starszych), Muzeum Włókiennictwa, wspomniany Aquapark... Dwie trasy to naprawdę dopiero początek!

Polub nasz funpage na Facebooku – daj się zainspirować!

<https://www.facebook.com/pismoWychowujMY>



Abigail Van Buren

Jeśli chcesz dobrze dla swoich dzieci, to spędzaj z nimi dwa razy więcej czasu i wydawaj na nie dwa razy mniej pieniędzy.



Harding Carter

Są tylko dwa niewyczerpane dziedzictwa, które musimy mieć nadzieję przekazać naszym dzieciom: koczowanie i skrzydła.



o. Jacek Woroniecki

Nigdy bowiem dobrze nie będzie rządzić innymi ten, kto nie umie dobrze rządzić sobą.



Zofia Kossak

Stoimy u progu nowej epoki. Bezmyślna hołota czasom, które ona przyniesie, nie sprosta. Z orląt, nie z kawek wyrastają orły i z orlego, nie z wroniego gniazda.



Forest E. Witcraft

Za sto lat nie będzie miało znaczenia, jakie było Twoje konto bankowe, w jakim domu mieszkałeś, ani jakim samochodem jeździłeś, ale świat może być inny, bo byłeś ważny w życiu dziecka.



Algernon Charles Swinburne

Tam, gdzie nie ma dzieci, brakuje nieba.

Noty o autorach

Jacek Banaś – nauczyciel, etyk; dyrektor Departamentu Kształcenia Ogólnego MEIN, ojciec czworga dzieci.

Bogna Białecka – psycholog, prezes Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii, autorka książek i poradników, redaktor portalu dla młodzieży www.pytam.edu.pl i portalu dla rodziców www.rodzice.co.

Radosław Brzózka – szef Gabinetu Politycznego Ministra, pełnomocnik ds. strategii edukacyjnej w Ministerstwie Edukacji i Nauki.

Aleksandra Gil – certyfikowany trener profilaktyki zdrowia psychicznego. Autorka materiałów o rodzinie, wychowaniu oraz kształtowaniu postaw społecznych. Redaktor portalu dla młodzieży www.pytam.edu.pl Tylko prawda jest ciekawa oraz portalu dla rodziców www.rodzice.co.

Artur Górecki – historyk, teolog, publicysta; wykładowca, nauczyciel i dyrektor szkół; propagator edukacji klasycznej; dyrektor Departamentu Programów Nauczania i Podręczników MEiN.

Agnieszka Hłowska-Rączka – polonistka, edukatorka w systemie edukacji domowej, trener w zakresie reторыki i sztuki występów publicznych, mama czworga dzieci.

Beata Kozyra – nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej, polonista, konsultant metodyczny, edukacyjny, autor scenariuszy do lekcji filmowych, autorka podręczników.

Monika Moryń – polonistka, fotograf, mama dla pięciorga dzieci Tu i pięciorga dzieci w Niebie, autorka bloga Czytanki-przytulanki.

Małgorzata Nawrocka – pedagog, dziennikarka oraz autorka kilkudziesięciu książek, scenariuszy teatralnych i podręczników szkolnych.

Anna Niemira-Jurek – redaktorka materiałów branżowych i edukacyjnych, a także scenariuszy gier. Mama czworga dzieci.

Tomasz Pitucha – działacz społeczny i samorządowy, dyrektor ORE, ojciec 3 córek.

Karolina Poniatowska-Lipska – muzyk, harcmistrz, mama 3 dzieci.



Maciej Popko – absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Obecnie pracownik działu finansowego w jednej z wrocławskich korporacji i współwłaściciel (wraz z mamą i siostrą) apteki „Pod św. Antonim” we Wrocławiu-Leśnicy.

Patrycja Przybysławska – polonistka, redaktorka, mama trojga dzieci.

Marta Strugała – absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, urzędnik MEiN, mama Zosi.

Karolina Strugińska – polonistka, publicystka, redaktorka, mama czworga dzieci.

Janusz Wardak – ojciec 10 dzieci, współzałożyciel i moderator Akademii Familijnej, doradca rodzinny i wychowawczy, prelegent, autor artykułów, poświęconych małżeństwu i rodzicielstwu.

Agnieszka Wojdyna – logopeda, nauczycielka języka polskiego, znawczyni i kolekcjonerka gier planszowych.

Katarzyna Wozinska – psycholog, dyrektor ośrodka Centrum Słowo – Psychologia z duszą, żona i mama czworga dzieci.

Anna Zalewska – publicystka, redaktor kwartalnika „Cywilizacja” i dwumiesięcznika „Służyć prawdzie”, koordynator działalności edukacyjnej i wydawniczej Fundacji Servire Veritati Instytut Edukacji Narodowej.

WYCHOWUJMY! Dwumiesięcznik poświęcony wyzwaniom współczesnego wychowania

Wydawca: Ośrodek Rozwoju Edukacji

Redakcja: Radosław Brzózka, Bogna Białecka, Artur Górecki, Izabela Jurek, Patrycja Przybysławska, Marta Strugała, Karolina Strugińska, Anna Zalewska

Wsparcie techniczne: Agnieszka Brodowska, Marzena Odzimek-Jarosińska

Opracowanie redakcyjne: Elżbieta Gorazińska

Skład: Wydawnictwo DRAGON Sp. z o.o.

Druk: Wydawnictwo DRAGON Sp. z o.o.

Adres redakcji: www.wychowujmy.pl

ISSN: 2720-2003

Zdjęcia wykorzystane w numerze pochodzą:

- a) ze źródeł internetowych: © zurijeta/Photogenica (okładka), © rod_julian /Photogenica (s. 3), © Gorilla/Photogenica (s. 4), © ArturVerkhovetskiy/Photogenica (s. 5), © Alekuwka/Photogenica (s. 7), © alenkasm/Photogenica (s. 8, 10, 29), © FamVeldman/Photogenica (s. 9, III okładka), © Yaruta/Photogenica (s. 11), © motortion/Photogenica (s. 12), © AllaSerebrina/Photogenica (s. 15, 18), © velkol/Photogenica (s. 16), © Kzenon/Photogenica (s. 21), © halpoint/Photogenica (s. 22, 32-33), © VitalikRadko/Photogenica (s. 24), © belchonock/Photogenica (s. 27), © imagepointfr/Photogenica (s. 30), © Shangarey/Photogenica (s. 31), © Corepics/Photogenica (s. 36), © NataliGlado/Photogenica (s. 38), Fot. Paula Szopa, CC-BY-SA-4.0 (s. 39), Fot. br. Cyprian Grodzki OFMConv/klasztor w Niepokalanowie (s. 40), Fot. Pontificia Universidad Católica de Chile from Santiago, Chile / Flickr / CC-BY-SA-2.0 (s. 41), Cyfrowej Biblioteki Narodowej Polona (s. 43) © outsiderzone/Photogenica (s. 51), © jos_temprano/Photogenica (s. 55), © serhii.bobyk.gmail.com/Photogenica (s. 57), © leexam165.gmail.com/Photogenica (s. 59), © coscaron/Photogenica (s. 60-61), © BIKER11960/Photogenica (s. 62), © baser/Photogenica (s. 65).
- b) ze zbiorów: Karoliny Poniadowskiej-Lipskiej (s. 34-35), wydawnictwa Instytutu Edukacji Narodowej – Fundacji Servire Veritati (s. 44), rodziny Popków (s. 45-46), rodziny Wiśniewskich (s. 47-48), wydawnictw: Zysk i S-ka (s. 51), Dwie Siostry (s. 51), Zakamarki (s. 52), Burda Media (s. 53), Znak (s. 53), Prószyński i S-ka (s. 56), MonolithFilm (s. 58), wydawnictwa Nasza Księgarnia (s. 61).
- s. 39: Zdjęcie rodzinne z Janem Pawłem II, fot. Paula Szopa, CC-BY-SA-4.0;
- s. 40: III pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Spotkanie z chorymi w Bazylice Mariackiej. Papież błogosławi chorych, fot. br. Cyprian Grodzki OFMConv/klasztor w Niepokalanowie;
- s. 41: Wizyta Jana Pawła II na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w Chile, fot. Pontificia Universidad Católica de Chile from Santiago, Chile / Flickr / CC-BY-SA-2.0.



Czas pandemii i przymusowej izolacji dogłębnie wpłynął na życie dzieci i młodzieży. Jakie są ich najczęstsze problemy? Jak razem je pokonać? Tej kwestii poświęcony był 1. numer dwumiesięcznika WychowujMY!



W 2. numerze pisma podejmowaliśmy refleksję nad tym, czego rodzice pragnęliby doświadczać od dziadków swoich dzieci. Jak dziadkowie mogą realnie wpływać na wychowanie swoich wnucząt?



W 3. numerze pisma zastanawialiśmy się, dlaczego i co warto czytać. Jak zachęcać dzieci do czytania? Jaka jest rola rodziców i szkoły w promocji czytelnictwa?



4. numer pisma poświęcony był radości rodzicielstwa. Dlaczego warto jej szukać? Jak ją odzyskać – wbrew lękom i niepewności?

W kolejnych numerach chcemy pisać o:

- zagrożonej młodości
- potrzebie charakteru

- zabawie
- mistrzach i idolach

DOROSŁYM O DZIECIACH

DWUMIESIĘCZNIK „WYCHOWUJMY!” ORAZ PORTAL WWW.WYCHOWUJMY.PL

SŁUŻĄ POMOCĄ RODZICOM, DZIADKOM, WYCHOWAWCOM I NAUCZYCIELOM,
ZATROSKANYM O PEŁNY, HARMONIJNY ROZWÓJ MŁODEGO POKOLENIA



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

BEZPŁATNA PRENUMERATA

ZAMÓW BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ
PRZEZ FORMULARZ ZGŁOSZENIOWY
NA STRONIE WWW.WYCHOWUJMY.PL
LUB MAILOWO, PISZĄC NA ADRES:
REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL



WYCHOWUJMY!

Zaplanujmy razem
JAK WYCHOWYWAĆ!



WWW.WYCHOWUJMY.PL

[f FACEBOOK.COM/PISWOWYCHOWUJMY](https://www.facebook.com/pismowychowujmy)

[e REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL](mailto:REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL)

RODZINA
KULTURA
WARTOŚCI
ROZWÓJ